Nr. 11. Lwów, Niedziela dnia 29. listopada 1874 r. **Rok I.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

X.

Ogródki Froeblowskie.

II. Dość rozpowszechnionem jest mniemanie, że wychowywanie dziecka rozpoczyna się z chwilą, gdy się je nauczać zaczyna, że nauczanie jest zarazem wychowywaniem, że jedno z drugiego wynika. To zamalgowanie dwóch pojęć, jest kardynalnym błędem pedagogicznym — i z tego to błędu dopiero nowsze wyniki prac obserwacyjnych, wyprowadzają ogół i dawną metodę pedagogiczną.

Wychowanie rozbudza i rozwija pojęcia i wyobrażenia o tem wszystkiem, co dziecko otacza, ku czemu dziecko samo się garnie. W wychowaniu stawamy na gruncie naturalnym, idziemy krok w krok za dziecięciem i pomagamy tylko jego własnym siłom, bronimy je od zboczeń, lecz niczego z góry nie narzucamy umysłowi, który do wszystkiego dochodzić musi samodzielną pracą. Wobec tego, nauczanie jest tylko środkiem, jest cząstką wychowania, i rozpocząć się może wtedy dopiero z pożytkiem, gdy umysł dziecka odpowiednio się rozwinął; gdy dziecko do tyla myśleć już umie, że naukę z r o z u m i e ć będzie mogło, a nie p a m i ę t a ć jedynie. Nauczanie jest to p o d a w a n i e dziecku pojęć, o rzeczach dotąd mu nieznanych, nauczanie stara się odbić na umyśle dziecka pewne prawdy, pewne twierdzenia, wlać w nie takowe. Do nauczania dziecko przysposobionem być musi; zdolność myślenia powinna być na tyle w niem rozwinięta, aby mogło przystąpić do przywłaszczenia sobie pojęć, które w niem nauczyciel na zasadzie metody „poglądu“ wytwarza.

Metoda poglądu zawdzięcza początek swój Pestalozzemu, który pierwszy zbadał należycie ducha dziecięcego i psychologię stworzył dziecięcą. Polega zaś na tem, by stopniowo rozwijać wyobrażenia i wiadomości dziecka, a widokiem przedmiotów, lub zjawisk, które się dziecku wyjaśnia, pojęcia uzmysławiać. Dziś już metoda poglądu, stała się dzięki pedagogom przeważnie niemieckim, dzięki pracom Swobody, Disterwega i innych, panującą w nauczaniu elementarnem. Lecz korzyści z tej metody, wówczas dopiero prawdziwie objawić i rozwinąć się mogą, gdy nauczanie na jej zasadach, poprzedzonem zostało wychowaniem odpowiedniem. Pestalozzi powiada, że „wychowanie narodu, spoczywa w ręku matek,“ a „jeżeli ognisko domowe nie jest świętym przybytkiem Boga, jeżeli matka nie rozbudza należycie serca i umysłu dziecka, to niemożebną będzie jakakolwiek reforma stosunków społecznych.“

Wychowanie bez zaprzeczenia, spoczywa — a raczej spoczywać powinno w ręku matek, boć to z natury macierzyństwa wypływa. Ubolewać potrzeba, że u nas matki rozumiejące całą powagę swego zadania, są wyjątkami—szczególniej w miastach, nader rzadkiemi. Dawne tradycje troskliwości macierzyńskiej, owe poetyczne dziś zwroty o „wyssaniu zasad z mlekiem matki,“ jeszcze tu i owdzie w starym dworze szlacheckim napotykać się dają świeże, żywe; w miastach należą do mytów. Może to z zajęć kobiety w mieście pochodzi, że albo wcale nic, albo mało co zajmuje się wychowaniem dziecka. Dzieci najczęściej, na łasce sług pozostawione, prawie dzień cały nie widzą swej matki. Jedno złe rodzi drugie. Dziewczynka samopas wzrosła, oddana na pensję, wyuczyła się po francusku, w domu cokolwiek na fortepianie, poszła na bal raz i drugi, słyszała, czuje i wie że zamąż iść trzeba, powiedziała jej matka, że zamąż iść może, bo ładna i posażna, więc poszła zamąż i tak mało zajmuje się dziećmi, jak i nią się zajmowano. Niańka, mamka, wrodzony popęd, zły lub dobry humor, są dla tej matki nauczycielami, wskazówkami, zasadami wychowania. Nie przeczymy, że dziś, gdy ogół zaczyna poznawać, iż kobieta g r u n t o w n e j, a nie p o w i e r z c h o w n e j tylko potrzebuje nauki, lepszych na przyszłość co do wychowania dzieci, spodziewać się można rezultatów. Przesądy jednych, że kobieta—jako przyszła gospodyni, potrzebuje mało nauki, a wiele praktycznego doświadczenia, jak najlepiej gotować, lub mylne wyobrażenia drugich, że kobieta przeznaczona do zajmowania drugorzędnego stanowiska w życiu domowem jako żona, tyle potrzebuje wiedzy, by umieć się znaleźć w przyzwoitem towarzystwie, znikają, zacierają się w umysłach. Lecz mimo tego, inne względy, jak praca kobiet, zajęcia całodniowe i t. d. czynić będą zawsze pewne przeszkody w należytem dzieci wychowywaniu — i matki będą zawsze zmuszone szukać w tej mierze pomocy.

Tej pomocy udzielą im zawsze tak zwane ogródki froeblowskie, których celem, zadaniem, jest wychowanie od lat 3 do 6.

Będziemy się starać o wyjaśnienie, czem są ogródki froeblowskie:

1. dla rodziny?
2. dla dziecka samego?
3. dla szkoły?

SERCE I REKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Wiem o tem, rzekł — ja także jem dziś w mieście....

W istocie jeść mu się bynajmniej nie chciało i wcale nie wiedział, dokąd pójdzie. Wściekał się. Rad nie rad musiał wywlec się z hotelu i szukać jakiej takiej restauracji.

Pierwsza z brzegu jaka mu się nastręczyła, mająca pozór dosyć przyzwoity... była wystarczającą na zabicie głodu i nudy. P. Zygmunt miał naturę ojcowską, lubił wszystkie życia wygody, nadewszystko wytworne jadło i dobre wino, łakocie, stół wedle prawideł sztuki, wesołe towarzystwo i pozory państwa.... Udawał nawet pana niedbającego o pieniądze wcale nie źle, naówczas gdy ich nie miał. Teraz tak mu było gorzkiem wszystko, tak obojętnem, że go nawet kuchnia bardzo zaniedbana nie rozbudziła. Był to bowiem jeden z tych traktjerów któ-

rzy przy wystawnej powierzchowności, nie dbają ani o reputację, ani o sumienie. Gospodarz rachował na łapanie cudzoziemców, i obojętnem mu było, że go zjadłszy łajali, że krzyczeli.... Drudzy po nich tak samo się łapali na piękny lokal, na służbę i blichtry.... Dwa rodzaje kuchni stanowiły spekulację: jedna dla cudzoziemców z nieświeżych ryb i śmierdzącego mięsa, ochrzczonych pompatycznemi tytuły, druga równie licha dla ludzi ubogich, tania — przeznaczona miejscowym fanfaronom dbającym więcej o dobry ton niż o żołądek. Stołowali się tu biedni udający ludzi dostatnich, choćby przyszło odchorować.

Zygmuntowi podano w wazce udającej srebrną, zupę udającą żółwiową — potem łososia odwiecznego podprawionego jakimś sosem, dalej befsztyk który mógł za zwierzynę uchodzić.... Butelka wina z czerwoną pieczęcią, kupiecką, etykietą złocistą, zamykała octowaty napój podprawiony spirytusem cynicznie.... Cierpliwy zrazu Zygmunt zaczynał się burzyć, podniósł oczy... machinalnie i naprzeciw siebie przy drugim stoliku ujrzał figurę, przypatrującą mu się bardzo pilnie. Zdało mu się, że ją już gdzieś widział w życiu, lecz — nie był tego pewnym. Parę razy zamienili spojrzenia — lecz dla Barona odnowienie takiej znajomości wcale nie było pożądanem.

Człowiek ten tak przypadał do tej restauracji, że go wziąć było można za część jej składową, do niej należącą. Był on produktorem sztuki z talmi złota naśladującej szacowny klejnot, dosyć niezgrabnie. Mało co starszy od Zygmunta, łysy, z twarzą rozlaną zawcześnie, z oczyma otoczonemi krwawemi obwódkami, z wargą zwisłą, wymuskany i odmłodzony pracowicie, woniał z daleka podejrzaną jakąś ambrą, i naśladowanym Jockey-clubem. Zdala widziany w pewnej perspektywie, mógł ujść za coś przyzwoitego, bliższe rozpatrzenie się dozwalało poznać surdut z tandety, bieliznę fałszywą z dolepionemi kołnierzykami i mankietami, szpilkę z masy naśladującej lapis lazuli, łańcuszek wiedeńskiej roboty, rękawiczki myte i czyszczone, lakierki odpęzlowane świeżo a niezgrabnie jakimś werniksem źle pokrywającym ich zgrzybiałość. Wszystko było w tym sposobie.... Imitowany ten kawaler z większego świata, minę też miał przesadzenie zawiesistą i buńczuczną. Kelnerów traktował z góry, wybredzał, gniewał się, rzucał, rozsiadał, rozkładał... a włożone w jedno oko szkiełko skierowane ku Zygmuntowi tymczasem go pilnie badało....

Baron nie mógł sobie przypomnieć gdzie spotkał tę figurę — była mu jednak znajomą i nie miłą. Kończył nawet obrzydliwe jedzenie co prędzej, aby ujść z tąd co rychlej, gdy ów gość rzuciwszy lornetę zbliżył się do jego stołu z miną pańską i zapytał po francusku....

— Wszakże mam honor? zdaje mi się? miałem przyjemność poznać pana Barona u panny Adeli?

Zygmunt jeszcze nieprzyjemniej dotknięty tem wspomnieniem, podniósł głowę kwaśno i wyjąknął:

— Prawdziwie nie przypominam sobie...

— Więc mu się muszę przypomnieć — jestem baron Artur von Redke, były major.

— A! a! a! zawołał Zygmunt... kłaniając się — bardzo mi miło.

Baron drugie przysunął krzesło do stolika bez ceremonji.

— Musiałem od lat kilku opuścić kraj.... byłem prześladowany....

— Pomimo zasług w wojsku?

— Za przekonania liberalne!! za charakter niepodległy.... Genewa jest bezpiecznem miejscem schronienia... i bardzo przyjemnem... bardzo przyjemnem... kto ją zna... dodał Baron Redke i — chrząknął. Pan nie życzy jej sobie poznać? hę? mógłbym mu służyć za przewodnika.... Ja tu już jestem jak w domu. Wszak pan grywałeś w klubie? My tu mamy w domach prywatnych, bardzo szanownych, grę uczciwą, towarzystwo miłe — kobiety zachwycające.... Pan ma gust wytworny, świadkiem panna Adela— lecz i tu się znajdą egzemplarze kobiet znakomite....

Zygmunt chciał kilka razy przerwać, napróżno, baron śmiał się i gadał, a oczyma go rozbierał.

— Ja tu nie bawię — jestem w przejeździe, rzekł w końcu, — a żonatym będąc....

— A! pan się ożenił! winszuję. Ale w stanie małżeńskim dystrakcje są też potrzebne, rozmaitość dodaje smaku — dobra ekonomika wymaga czasem epizodzików.... Cha! cha!

Zygmunt był bardzo serjo.

— Żałuję — dodał, że z łaskawych ofiar pana barona korzystać nie mogę.... Jestem na wyjezdnem....

— Przecież nie dziś?

— Nie wiem....

Odpowiedzi były lakoniczne i odstręczające, lecz Redke gdy postanowił sobie kogo złapać, nie łatwym był do odprawienia. Udawał, że nie rozumie....

— Przyznam się baronowi — rzekł, że widząc go samym, nie przypuszczałem byś był żonaty.... A pani tu?

— Tu — chora....

— Nie chcielibyście państwo doktora, mogę im nastręczyć....

— Nie — jedziemy do Włoch....

— A kiedy szanowna małżonka chora.... tem bardziej dystrakcja potrzebna, aby nie upaść pod ciężarem frasunku.... Dzisiaj mamy znakomity koncert....

— Koncert? spytał Zygmunt któremu nagle przyszła myśl przez hrabinę namówienia żony — i towarzyszenia im obu.... Czyj?

— Sławny! znakomity Ullmanowski.... Patti spiewa....

— A! to być może zajmujące....

— Tak, dla tych co mają bilety....

Redke dobył z kieszeni jeden i pokazał go.

— Ale to się nabywa na wagę złota, —ci Anglicy podrażają wszystko.... Ja — co się tyczy mnie, mówił Redke — dość jestem obojętny na muzykę.... Mógłbym baronowi mój bilet odstąpić... wprawdzie nabyty ze znaczną prymą, ale o tej godzinie już kurs jest wyższy....

— Gdybyś pan miał ich trzy? wrzucił Zygmunt.

Baron zerwał się z siedzenia....

— Zaczekaj pan tu... dostarczę mu ich.... Miło by mi było służyć dawnemu znajomemu....

I pochwyciwszy kapelusz rzucił się żywo ku drzwiom. Zygmuntowi przyszło teraz na myśl pozbyć się natręta uchodząc, lecz nim się dowołał rachunku, nim go opłacił, Redke był z powrotem z biletami, nadzwyczaj szczęśliwie nabytemi za bezcen, za trzy luidory.... Zygmunt je wziął i zabierał się podziękowawszy odchodzić, ale fałszywy baron chwycił za kapelusz także aby go bawiąc rozmową przeprowadzić... i nie puścił tak rychło.... Być bardzo może, iż idąc po bilety miał czas przygotować łapkę na Zygmunta inną, gdyż u samych drzwi restauracji spotkała ich pięknego wzrostu, niezmiernie wystrojona pani — którą Redke powitał jako doktorowę de la Vallée i zaraz jej przyjaciela swego barona Zygmunta przedstawił. Chociaż doktorowa była równie fałszywą elegantką jak Redke nie prawdziwym salonowcem, tak była piękną, tak smutno-łagodny miała wyraz twarzyczki dosyć zmęczonej — że Zygmunt spotkawszy jej wzrok omdlały — poczuł się tą znajomością mimo woli zaintrygowanym.

P. de la Vallée zawiązała rozmowę... szła w tę samą stronę do — domu.... Zygmunt nie myśląc przeprowadzać posunął się za nią kilka kroków.... Doktorowa pełną dowcipu i zręczności zawiązała rozmowę. Najobojętniejszy człowiek gdy doń strzela piękna kobieta zręcznemi słowy, nie chce uchodzić za mazgaja. Z sarkazmem i ironją począł p. Zygmunt żartobliwą pogadankę.... Szło to jakoś tak dziwnie gładko, że się nie opatrzył jak się znaleźli na bocznej uliczce, w bramie bardzo pokaźnej kamienicy, a doktorowa zaprosiła, by raczyli chwilkę u niej wypocząć.

Redke się przyznał, że nie pili czarnej kawy.

— A! więc proszę na nią i na kieliszeczek prawdziwego liqueur des isles, który mam od kapitana Brooke....

— Od kapitana Brooke! temu się oprzeć nie podobna — przerwał Redke — idziemy... służymy.

Zygmunt chciał żegnać, doktorowa z niewieścią natarczywością ujęła go za rękę i rzekła:

— A! po wschodach mnie pan przeprowadzi! Polacy są zwykle tak grzeczni! Stoję nie wyżej jak na drugiem....

Szli tedy na drugie... ale Zygmunt zasępiony był i zawstydzony, że się tak dał wziąć po studencku.

— Niech się pan nie dziwi że biedna wdowa po lekarzu... muszę mieszkać skromnie, póki proces z familją męża nie będzie skończony.... Nie przyjmuję też nikogo, prócz kilku przyjaciół nieboszczyka, do których baron Redke należy.

Skromne mieszkanie na drugiem piętrze, wyglądało w istocie na wynajęte z meblami, lecz było dosyć obszerne i nawet pokaźne; chociaż elegancja jego przypominała znowu gust i rodzaj barona Redke.... Piękna doktorowa zmusiwszy Zygmunta usiąść zajęła się kawą.... Znudzony mąż Olimpji w końcu poddał się śmiesznej tej awanturze, znajdując zabawnem to, iż sądzono że się dał ła-

pać, gdy tak jasno widział w jakiem był towarzystwie. Nie miał nic innego do czynienia, — czekał więc na kawę i likwor.... Doktorowa była po zrzuceniu płaszczyka i kapelusza piękniejszą jeszcze.... Uśmiech jej słodyczy pełen, głos harmonijny, dziwnie się wiązały z dowcipem ostrym i śmiałym....

Do kawy podano likwory przedziwne.... Zygmunt się zagadał, zapomniał, pozwolono zapalić cygaro... pani malutkie ekarte zaproponowała.... Po kawie i likworze możnaż było odmówić?... Baron Redke wśród tej gry znikł niepostrzeżenie.... Gdy się ostatnia partja skończyła przegraną dziesięciu luidorów, Zygmunt spojrzał na zegarek... nadchodziła godzina koncertu!

Pożegnał więc co prędzej doktorowę zapraszającą go uprzejmie na rewanż... i pobiegł do hotelu. Ztąd panie już wyjechały, ale nikt nie wiedział do teatru czy na koncert.... Gniewny sam na siebie Zygmunt spieszył już sam z biletami do sali....

Na nieszczęście... ktoś znać dobrodusznego barona Redke niegodziwie oszukał. Wszystkie trzy bilety kupione u niego były fałszywe.

Zygmunt dostawszy liche bardzo miejsce, wcisnął się do przepełnionej sali.

* *
*

Życie ma wiele stron smutnych, sztuka ma zagadek bez końca?

Przestrach nieraz ogarnia gdy się w głąb' fenomenów powszednich myśl zapuści. Patrzysz w oczy kobiecie.., mówią ci językiem niebios, pieśnią aniołów... lecz nie żądaj ażeby usta niemą tę pieśń powtórzyły — te śliczne oczy w których ty czytasz tyle, nie roiły o tem coś w nich znalazł....

Artysta wykonywa arcydzieło — muzyka brzmi odcieniami najdelikatniejszemi, w zachwyceniu idziesz uścisnąć dłoń wirtuoza, — zaczynasz rozmowę i znajdujesz najprozaiczniejszego w świecie człowieka. To czem mówił do twojej duszy, w jego własnej nie powstało....

Jakże tu nie przypuścić że przez te palce, demon jakiś który je opanował, co je użył za narzędzia — przemawiał: że my wszyscy jesteśmy klawiszami wielkiego organu na którym grywa czasem duch wszechświata, a czasem prosty organista!

Te myśli przychodziły może nie jednemu słuchając koncertu Ullmanna, na który się wszyscy Anglicy, Amerykanie, Rossjanie, Polacy, a nawet oszczędni Szwajcarowie zebrali, aby się napawać cudownie wykonywaną muzyką arcymistrzów, odżywioną natchnieniem najsłynniejszych wirtuozów Europy — choć — niestety! najpospolitszych w świecie ludzi w dni powszednie.

Sławny tenor tego konsorcjum, podobny był do hejdelbergskiej fasy, a piał jak słowik.... Trzeba tylko było oczy zamykać słuchając, ażeby narzędzie z którego wychodziły tony — nie psuło ich wrażenia.... Dwie panie, dzięki kellnerowi i nieszczędzonemu złotu, dostały najlepsze dwa miejsca w pierwszym rzędzie.

Nieszczęśliwy Zygmunt ściśnięty w tłumie, musiał z niezmiernym wysiłkiem i użyciem łokciów zdobywać powoli w bocznej nawie sali stanowisko znośniejsze. Chciało mu się jeśli nie usiąść w jednym rzędzie ze swem towarzystwem, to stać przynajmniej na równi. Popychał więc z wolna mruczących proletarjuszów jak on, i w tej walce o byt, przyszedł do tego wreszcie iż mnogo nadeptawszy nagniotków i nabiwszy boków współzawodników, wypłynął do pierwszego szeregu.

Z tąd mógł doskonale widzieć Klarę w blado lilijowej sukni, jaśniejącą pożyczaną młodością i Olimpję ubraną czarno z pąsowemi wstęgami zwracającą na siebie oczy wszystkich. Słyszał nawet domysły i dopytywania otaczających, z których jedni brali Olimpję za hiszpańską jakąś księżnę, drudzy za Włoszkę, inni za Francuskę.... Piękność jej, matowa bladość twarzy odbijająca od sztucznych rumieńców i białości pań siedzących obok, smutny wyraz... intrygowały mężczyzn i niepokoiły kobiety.... Najpowszechniejszem zdaniem było że to być musi jakaś znakomitość arystokratyczna. Jakby dla dodania blasku Olimpji kontrastem obrachowanym umyślnie, wykwitła obok niej różowa hrabina Klara... Pomimo wielkiego wdzięku nie taiła sama przed sobą, że zgaszona przez sąsiadkę, służyła jej tylko za repoussoir.

Odspiewała już pierwszą arję sławna artystka, odegrał wiolonczelista przypyszne koronkowe warjacje, tenor zachwycił słuchaczów słodyczą swojego głosu dobywającego się z dziwną łagodnością z głębin kolosalnych jego piersi... gdy hrabina Klara nie mająca programu spojrzała w ten, który trzymała jej sąsiadka....

Następny numer zawierał trio Schumanna... a fortepianową jego partję miał odegrać Włoch, znakomity choć jeszcze mało znany artysta Fratelli. Sąsiadka nieznajoma, amerykanka czuła się w obowiązku hr. Klarze udzielić wiadomości, iż Fratelli szczególniej nadzwyczajnem uczuciem w grze celował, że Ullmann go pierwszy gdzieś odkrył i dał poznać światu i nie wątpi że Rubinstein i Bülow mieć w nim będą niebezpiecznego współzawodnika.... Jeszcze szeptała amerykanka, gdy pan Fratelli, piękny, słusznego wzrostu mężczyzna ukazał się na estradzie, witany rzęsistemi oklaskami. Postać była szlachetna, głowa pełna wyrazu, twarz jeszcze młoda acz smutna i blada, a, co najdziwniejsza, bujny włos otaczający ją, jakby dziwactwem jakiemś i igraszką natury był jak u starca siwy — prawie biały. Amerykanka właśnie szeptała na ucho Klarze, iż siwizna ta przedwczesna, miała być owocem jakiejś strasznej boleści, która pana Frateli zaledwie dwudziestokilkoletniego dotknęła, tak że wysiwiał jednej nocy. Podanie to, podobne do legendy więzienia Paganiniego, nowego uroku dodawała wirtuozowi. Oczy wszystkich pań zwróciły się na niego z niewysłowionem współczuciem. Piękny był, sympatyczny i jakaś poezja wiała od niego.... Nie znać w nim było na popis wychodzącego grajka, ale jakby kapłan melodji występował z powagą surową, z czołem mgłą jakąś osutem.... Piękne rysy, wyraz oczów czarnych melancholicznych obudzał dlań sympatję.

W chwili gdy wychodził, Olimpja wzrok miała spuszczony i nie postrzegła go zrazu, oklaski ją obudziły jakby ze snu, podniosła oczy i hrabina Klara przerażona ujrzała ją zrywającą się z siedzenia, wyciągającą ręce — i — z krzykiem upadającą na krzesło. Ledwie miała czas ją pochwycić. Olimpja na pół była omdlałą. Artysta w tejże chwili zobaczył ją także, drgnął, zdawało się że z estrady zeskoczy, powlókł dłonią po czole... chwilę jakąś wahał się i chwiejącym krokiem poszedł do fortepianu.

Zajęcie wirtuozem było tak wielkie iż mało kto dostrzegł ten epizod... dosłyszał wykrzyk... przypisano go zresztą uwielbieniu dla Fratellego, Klara tylko przestraszyła się widząc słabnącą przyjaciółkę, podała jej spiesznie sole bez których nigdy nie wychodziła i cichym głosem zapytała.

— Na miłość Bożą... co ci jest?

Słabym głosem Olimpja mogła jej tylko odpowiedzieć:

— To on....

— Kto? gdzie?

— To on, to on! to Bratanek... powtórzyła Olimpja... ja go widzieć muszę... ja... umrę jeśli go nie zobaczę....

— Nie masz potrzeby ani umierać, ani tak się niepokoić... jeśli to on w istocie... natychmiast go ściągniemy do ciebie. Zdaje mi się że cię widział i poznał — dodała hrabina....

W tej chwili zwrócona ku Olimpji, spostrzegła Klara po raz pierwszy Zygmunta, który oczy miał wlepione w żonę; trąciła ją oznajmując o tem i szepnęła:

— Zygmunt tu jest, szpieguje....

— Nie myślę z tego robić tajemnicy — gorączkowo wzruszonym głosem odpowiedziała Olimpja — zapowiedziałam mu że kiedykolwiek, gdziekolwiek spotkam tego, któremu się oddałam cała i na wieki, wrócę doń... i będę... jego....

— Wszystko to bardzo heroiczne, przerwała Klara, ale Zygmunta trzeba znać. Sprzeciwiać się nie będzie, ale napadnie Bratanka, obrazi go, wyzwie i zabije. Zygmunt strzela i szermuje doskonale.... Na miłość Boga, nie unoś się Olimpjo... abyś sobie i jemu nie zaszkodziła — trzeba umieć kłamać i udawać. W sumieniu mówisz żeś czysta i niemasz sobie nic do wyrzucenia... to dobrze — lecz od złych ludzi należy się uzbroić w środki ostrożności.

Ze spuszczoną głową a oczyma wlepionemi w wirtuoza, który zdawał się już usiadłszy przy fortepianie potrzebować krzepić i otrzeźwiać... co rozpoczęcie tria opóźniało. Olimpja siedziała nieruchoma już i milcząca. Klara za nią egzaminowała otaczających, usiłując odkryć czy się czego domyślali, czy co postrzegli.... Zdawało się iż porwanie się i okrzyk Olimpji utonęły w entuzjazmie i oklaskach publiczności... Szło Klarze o to czy ich oko Zygmunta nie wyśledziło i nie obudziło podejrzeń....

Musiała za towarzyszką swą myśleć i troszczyć się, bo Olympja siedziała w jakiemś zachwyceniu i niepokoju razem, wzruszona, nieprzytomna, nie widząc tłumu co ją otaczał, ani się troszcząc o ludzi.

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

S e w e r a...

III.

(Ciąg dalszy.)

— Wiem wszystko — cicho przemówiła; długie rzęsy zasłoniły jej oczy, rumieniec jak ostatni blask światła w lampie, buchnął płomieniem i zagasł. — Mój brat obraził pana... okropnie, niegodnie! Czy go pan za to zabijesz? — Dwie łzy w oczach zaszkliły się, wezbrały i spadły. — Przeczuwam, że go zabijesz, on nie miał czasu uczyć się bronią robić, pracował aby słabą ciotkę, która go wychowała i siostrę wyżywić!— Miss spojrzała na mnie załzawionemi oczami... milczałem. — Charakter jego gwałtowny i drażliwy staje się powodem naszych nieszczęść, inaczej życie płynęłoby nam wśród pracy cicho i spokojnie. Czy pan nie masz nikogo? — długi przestanek, — nikogo na świecie?...

— Nikogo, — odpowiadam.

— Nikogo, kogobyś kochał, za kimbyś tęsknił, dla kogo chciałbyś żyć?

— Nikogo!

— Nikogo... powtarza miss jakby odbicie echa rozpaczy; — a więc zabijesz mi brata! Nie masz pan ani matki, ani siostry?

— Nie, pani.

— Nikogo! — jak to straszne... ja miałam ciotkę, dziś jej nie ma, a teraz zabijesz mi brata! — Nogi jej drżały, zachwiała się, usiadła, korale ust zbladły, zamilkła.

I ja nikczemnie milczałem; człowieczeństwo zabił we mnie artysta. Zdobyłem się na okrucieństwo katować biedne dziecko, aby z rozkoszą patrzyć na jej piękną boleść. Odgrywano przedemną dramat z prawdą uczucia i prostoty, temi dwiema potęgami sztuki, które genjuszów tworzą. Patrzałem więc wzruszony, aby nie stracić ani jednego ruchu; łzy miałem w oczach a uśmiech na ustach, słuchałem, aby nie stracić jednego wyrazu i niegodnie milczałem.

— Więc ser zabijesz nas... tak, bo ja nie mogę sama się zostać....

— Musiałem na pani zrobić wrażenie ostatniego nikczemnika,—rzekłem nareszcie. Milczeć gdy sierota domaga się życia dla swego brata, który jej jest ojcem—milczeć, gdy mi zarzucają chęć morderstwa, jako zemstę za obrazę, która raczej była śmiesznością.... A jednak pani ja milczałem, gdyż boleść twoja, była tak piękną w swojej prawdzie!

Misses zarumieniła się i znowu długie rzęsy zasłoniły oczy.

— Boleść pani walczyła z godnością — wyrazów nie wiele, lecz każden z nich wypowiedziany przez usta pani miał taką wartość dramatyczną, że należało milczeć z uszanowania dla sztuki, lub przerwać ze współczucia dla boleści. Wybrałem pierwsze.

— A ja zaczynałam już tracić nadzieję, ostatnią nadzieję posiadania jedynej opieki....

— A ja milczałem jak kat, stawiając się w opozycji, jak gdybym istotnie losy brata pani miał w moich rękach.

— Nie ulega wątpliwości, że tak jest.

— Pani, w podobnych wypadkach, nie zręczność, lecz los rozstrzyga.

— Nie wierzę ja w naszą gwiazdę. Więc ser stanowczo przebaczasz memu bratu? — dodała, powstając z wyciągniętą do mnie ręką.

— W którem miejscu obecnie brat pani pracuje? — pytam, zatrzymując nieco dłużej białą wąską a długą rączkę.

— W Ulicz, lecz dlaczego się pan o to pytasz? — rzekła zakłopotana miss, wysuwając powoli rękę z mojej dłoni.

— Aby w tej chwili tam pojechać i przeprosić go za moje roztargnienie, z którego był zmuszony ocucić mnie szklanką piwa. Była to niespodzianka zdolna od jednego cięcia stanowczo wyleczyć i gdyby tak się stało, serdecznie byłbym wdzięczny panu Henrykowi Clifford.

Miss wracała do równowagi usposobienia; zwykły spokój opromieniony radością, wypełniał szlachetne jej rysy, a rozum do oczu się cisnął.

— Ser jesteś grzeczny i uprzedzający, jak cudzoziemiec — dodała uśmiechając się — i z tą samą swobodą z którąbyś wbił szpadę w piersi mego brata, jedziesz przepraszać go, — to prawdziwie po francusku.

— Chciałaś pani powiedzieć z tą samą lekkomyślnością, o którą posądzacie wszystkich Francuzów. Nie jestem Francuzem, ale chociaż nim nie jestem, nie widzę innego wyjścia, jak pozwolić się zabić, aby nie popełnić zabójstwa, lub przeprosić....

— A jak to dobrze, że ser nie jesteś Francuzem, ale z powonością także i nie Niemcem.

— Dzięki Bogu nie mam zaszczytu należyć do rozszerzonej ojczyzny Bismarka; jestem Polakiem!

— Polakiem? pierwszego w panu poznaję Polaka, znam jednak troszkę Polskę, lecz tylko z książek i teraz stanowczo upieram się przy tem, aby brat mój przeprosił pana.

— Dlaczego pani?

— Chociażby dla tego, że ser należysz do narodu, który tyle cierpi.

A więc przez litość dla Polski, chcesz pani teroryzować swego brata i upokarzać go zmuszając do przeproszenia.

— Jeżeli się ma współczucie, czyż ono koniecznie litość oznacza? zresztą nic mną nie powoduje jak tylko sprawiedliwość.

— Nie mam zwyczaju tryumfować z upokorzenia drugich, pani zaś dla zadośćuczynienia samej sprawiedliwości, chcesz zrobić przykrość bratu. Słusznie sprawiedliwość posądzają o brak serca.

— O, ser — mówiła spokojnie miss — serce, sprawiedliwość, litość, tyle ważnych pytań odrazu. Gdybyś znał bliżej mego brata, podzielałbyś moje zdanie, że tylko sprawiedliwe wyjaśnienie mu jego postępowania, może go ochronić na przyszłość. Posłuchaj ser: brata mego wychowała kobieta. Wzrastał sam bez towarzystwa kolegów, którzyby z pewnością nauczyli go żyć. Szlachetne usposobienie wydelikacone tkliwą opieką niewieścią, stało się zbyt drażliwem i w wyskokach swych porywczem. Zapóźno postrzegłyśmy tę wadę. Ciotka zostawiła mi w spuściźnie opiekę, nad tym najszlachetniejszym umysłem, z rozgrymaszoną ambicją własną. Co dzień gdy go nie widzę jestem niespokojną, drżę o niego i wtedy dopiero oddycham swobodnie, gdy go zobaczę. Pracujemy razem, wychodzę razem z nim i pilnuję go, jak przyjaciel i mentor.

— Czy istotnie masz pani powody do nieustannych obaw?

— Jakżeż ich nie mieć, gdy już dwa razy odwiozła Henryka policja, zalanego krwią, zboksowanego do nieprzytomności.... Raz jakiś obcy człowiek przywiózł omdlałego, otworzył kluczem brata drzwi, położył go na schodach, drzwi zamknął za sobą, silnie zastukał i odszedł.... Zbiegam na dół, aby otworzyć i postrzegam Henryka leżącego na schodach bez znaku życia, z poszarpanem odzieniem. — Dodaj pan do tego drugi już pojedynek, który udaje mi się zażegnać dzięki naszemu przyjacielowi i szczęściu, że trafiam na tak szlachetnych ludzi.

— A może na ludzi, którzy radzi chcą siebie oszczędzić....

— Nie mów tak ser, boli mnie, gdy kto z wyrafinowanej grzeczności, siebie maltretuje.— Miss więcej jeszcze zbladła, wspomnienia i opowiadana historja zmęczyły ją widocznie.

Zastukano do drzwi, miss prosi, wchodzi dżentelmen, który mnie przywiózł, a powitawszy serdecznie Dorę, zwraca rozmowę do mnie.

— Teraz zdaje się nadszedł czas, w którym instrukcja moja pozwala zapytać cię ser, co postanowiłeś w kwestji pojedynku?

— Postanowiłem jechać do Ulicz i przeprosić ser Henryka Clifford.

— Co za znakomita idea! — mówił teraz naturalnie i swobodnie mister Wordward. — Tą grzecznością ukarzemy go, abyśmy tylko umieli.

— Bądź spokojny ser; dżentelmen, jestem przekonana, ma wielką wprawę w użyciu tego rodzaju grzeczności.

— Tak pani sądzisz?

— Sądzę, że umiałbyś ser nawet zabijać grzecznością; poznaję to po twoim uśmiechu i zręcznym doborze słów.

— Moim uśmiechu? — odparłem zamyślając się nad przeszłością daleką.

— Przebacz ser moją otwartość; może za zbyt pospieszny wyrok na tak krótką znajomość — przerwała moje zamyślenie miss Dora.

— Jedziemy zatem do Ulicz — zadecydował dżentelmen, — co za wyborny projekt! a tymczasem na drogę czeka nas kieliszek madery, lub brendy.

— Służę panom — idąc naprzód prosiła gospodyni domu.

Na parterze czekało nas zastawione skromne śniadanie, obok niego służąca w wyprasowanych perkalikach z białą łatką bawełnianą szydełkowej roboty przypiętą na wierzchu głowy. Jest to jej mundur i oznaka godności, — służącej. Zwyczaj szanowany na całej wyspie.

Wątpię, aby się znalazła kwestja w Polsce i Anglji, bez uczty, słowem bez jedzenia. Na ten temat mógłbym bardzo dużo powiedzieć, gdyby nie miss Dora, która co raz więcej mnie onieśmiela; w obec niej staję się niezręcznym, brak mi wymowy. Wypiłem odrazu kieliszek wina, gdy tymczasem ona pije swój powoli z gracją i swobodą. Ach! jaką swobodę mają w obejściu Angielki... naturalną, poetyczną, pełną prostoty. Francuski ze swoją kokieterją, Polki z sentymentalizmem, prędko się wyczerpują — swoboda stworzona przez wolność, z poczucia godności trwa zawsze.

— Ser wspomniałeś, że nie masz nikogo na świecie. Czy wszystkich bliskich straciłeś?

— Jednych straciłem, drudzy sami odeszli; ciężyłem im, zostawili mnie więc samego i poszli dalej.

— Nie pojmuję, jak można tych których się kocha, porzucić.

— Nie wszyscy jednakowo kochają; zwykle kochamy dla siebie i jeżeli przywiązanie staje się ciężarem, zostawiamy ciężar nieużyteczny idąc dalej; to mój system.

— Nie oskarżaj się ser; mnie się zdaje, że miłość prawdziwa powiększa się ze wzrostem ciężaru, który im jest większy, tem więcej staje się nam drogim.

— Pani musisz bardzo kochać swego brata; nieustanna trwoga o jego los, wzmaga jej przywiązanie. — Maki, korale okryły twarz miss Dory; rozgniewany na siebie cofam się. — Tak pani — dodaję — ja nie mam już nikogo.

— Czem ser zapełniasz życie, czy można żyć podobnie? — zapytała z naiwnością.

— Co do przeszłości, żyję wspomnieniami, oddalone wspomnienia stają się piękniejszemi....

— Lecz najważniejsza teraźniejszość — przerywa mi ciekawie młoda Angielka.

— Pani sądzisz, iż tych za których cierpimy, kochamy silniej. Zamiast ludzi daleko wygodniej i łatwiej kochać ideę. Znasz pani kraj mój z jego ciężkich dziejów, sympatyzujesz z nim, jam go stracił podwójnie. Pani nie pojmujesz podobnej straty, bo twoja ojczyzna wolna i potężna, nie tęsknisz za nią, bo ją posiadasz, nie cierpisz dla niej, gdyż jesteś z niej dumna....

— Zaczynam pana rozumieć, chociaż idea musi mieć dla mnie ścieśnione ramy, aby się mogła pomieścić w jednem sercu i wystarczyć jednemu życiu.

— Dlatego, pani, Polacy w swej nieokreślonej miłości do kraju są idealistami, brak im praktycznego zmysłu, określonych celów, wytkniętych jasno dróg. Dlatego też w naszym kraju, tak jeszcze popłacają górnolotne wykrzykniki o miłości ojczyzny, bez pracy dnia, dla jutra. Dlatego też Polacy, wszyscy są zakochani, lecz bardzo mało między nami takich, którzyby chcieli zapracować, aby wyżywić ubóstwianą kochankę; zapewnić jej jutro, zrobić szczęśliwą i wolną....

— Pięć minut do 12tej — przerwał dżentelmen, który przez cały czas zajęty śniadaniem nie uczestniczył w naszej rozmowie. — Siedm minut drogi mamy do stacji, pięć koleją, trzy do czterech statkiem parowym do Ulicz i blisko pięć do zakładu, razem przeszło dwadzieścia minut. O w pół do pierwszej Henryk wychodzi na śniadanie, spieszmy się, aby go złapać przy wyjściu. — To rzekłszy wypróżnił kieliszek, chwycił za kapelusz, pożegnał Dorę i mimowolnie zmuszał mnie do wyjścia.

— Mam nadzieję, że Henryk nie będzie zbytecznie prześladowany pańską grzecznością.

— Domyśliłem się tej obawy przy charakteryzowaniu mej grzeczności, bądź pani spokojną.

Na buzi miss zakwitł jeszcze raz mak koral, — a podając mi rękę powiedziała pieszczotliwie: Gut baj, — że aż mi się zimno zrobiło.

Na ulicy pan Woodward serdecznie ścisnął mi rękę.

— Pojmuję pańską delikatność — rzekł wzruszony — Henryk jest gorączka i tem nieszczęśliwem usposobieniem mimowolnie nieraz zadaje ciosy swej siostrze, którą ser poznałeś. Jakże się dobrze stało!

— Czyż mogło się stać inaczej? — zapytałem.

— Przyznam się panu, żem się troszkę obawiał i dlatego zostawiłem cię ser samego z miss Dorą.

— Postąpiłeś ser bardzo bezwzględnie narażając mnie na tak wielkie niebezpieczeństwo.

— Nie przeczę, siostra Henryka posiada wiele powabów młodości, lecz należało z mej strony wszystko zrobić, aby odnieść zwycięstwo. Dziwnie się to rodzeństwo rozwija samo, od trzech przeszło lat po śmierci ich ciotki....

— Ser, jestem w kłopocie — przerwałem. Sekundant mój ma mnie odwiedzić podczas naszego pobytu w Ulicz, przyrzekłem czekać na niego.

— Poradzimy na to łatwo — odrzekł dżentelmen; — ze stacji poszlesz pan swej Lend-lejdy telegram, zapraszając pańskiego sekundanta na godzinę 4tą do restauracji koło Waterlo-bricz pod złotym pawiem.

Gdy telegram rozciekawiał Rachelę, nas pociąg lokomotywy wiózł nad brzeg Tamizy.

(C. d. n.)

FRANCJA DZISIEJSZA

POD WZGLĘDEM LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Rzecz dla „Tygodnia" napisana

przez

L. PICARD'A.

(Ciąg dalszy.)

I.

POEZJA.

Za cesarstwa znikła szkoła romantyczna. Musset umarł, goryczą i niesmakiem znękany; Lamartine, śpiewak „Medytacji," balkonowy bohater paryskiego ratusza w r. 1848, poszedł pod wodę, przyjąwszy na swem łożu śmiertelnem jałmużnę od cesarstwa; Teofil Gauthier, reprezentant ex-młodej Francji, ekscentryczny obrońca Hernaniego, wyzionął ducha w objęciach kościoła i cesarstwa; St. Beuve zgasł jako ateusz i senator. Jeden tylko pozostał poeta z wielkiego okresu. Był na wygnaniu. To Wiktor Hugo.

Złowrogim grudniowym zamachem stanu wyrzucony na angielską wyspę, w pierwszym swym poemacie *Les Chatiments* ujawnił się on okrzykiem grozy i nienawiści. Piewca sławy pierwszego cesarstwa, autor ody „Do kolumny," chwyta za bicz Juwenala dla osmagania „Napoleona Małego". *Les Contemplations*, które pojawiły się następnie, zdradzają serce zranione jeszcze, ale któremu już czas zabliźnił ranę. Z głęboką melancholją śpiewa rodzinę i przyrodę. Pewnego dnia przychodzi mu fantazja „znowu dosiąść Pegaza" jak się tam wyraża, i pisze *Les Chansons des rues et des bois*.

Po dwudziestu latach wygnania, Wiktor Hugo powrócił do Francji w chwilach pruskiej inwazji. Zamknął się w Paryżu. Przybywszy do stolicy, gdy nieprzyjaciel był już o kilka tylko mil od niej i gdy widnokrąg czerwieniał od gorejących lasów, poeta powiedział tym, którzy wyszli na jego spotkanie: „Nie chcę mieć żadnego udziału we władzy, tylko w niebezpieczeństwie." Po oblężeniu mianowany został deputowanym i był pierwszym, z wypisanych na rozjątrzonej liście, którą Paryż rzucił jako protestację reszcie Francji. W Bordeaux Wiktor Hugo nie chciał być wspólnikiem hańbiącego pokoju, potem, po obronie z trybuny Garibaldego, który ofiarował swą szpadę Francji republikańskiej, zapomniawszy o wojnie, jaką z nim wiodła Francja cesarska, podał się do dymisji, ponieważ Zgromadzenie narodowe znieważyło szlachetnego obywatela. W chwilach gdy powstawała w Paryżu komuna, Hugo tracił syna swego, Karola. Dnia 18. marca przeprowadzał zwłoki jego na cmentarz, w pośród tłumu, który bronią do nogi ze czcią salutował poetę na takie próby wystawianego. Z tego to obrazu, pożarami oświetlonego, z tej żałoby własnego serca, wyłonił się *L' Année terrible*.

Nowe dzieło kreśliło naprzód obraz rozbudzenia się patrjotyzmu w Paryżu, jeszcze drżącym od pogrzebanych wspomnień 3. września, kiedy stolica dowiedziała się, że cała armja została wydana i zhańbiona.

> France, voici le lieu hideux de ton histoire:
> Sedan....

Jest to epopeja obfitująca w ustępy godne Danta i Juwenala.

Dalej Hugo przystępuje do opisu bitw, robi pendant do znakomitego wiersza o Waterloo w Expiation. Ale wśród wrzawy walki, jęku rannych, huku dział i szczęku broni daje słyszeć hasło: Odwet!

Hugo jest elegicznym w *Bombe aux Feuillantines*, w *A la petite Jeanne*, w *L'enfant malade*, trzech arcydziełach. Pruska bomba spadła w ogród kwiatowy, pełen motylów i wspomnień, gdzie upłynął wiek dziecięcy poety. Podnosi on głos przeciw tej brutalce i obraża się tym strzałem, przeszywającym jego młodociane marzenia. Taka jest *La Bombe aux Feuillantines*.

Wnuczka jego, chora podczas oblężenia na tę dziwną chorobę, która opanowuje wszystkie prawie dzieci, natchnęła go poezjami *A la petite Jeanne* i *L' Enfant malade*.

Powiedział on:

> Pour prix de mon éxil tu m'accordera, France,
> Un tombeau....

I oto ma naprzód grób swego syna Karola; w rok potem umiera znowu drugi jego syn, Franciszek Wiktor, tłumacz Szekspira.

W drugiej części *Année terrible* Wiktor Hugo rzuca się między zwycięzców majowych a zwyciężonych komunistów. Żąda przebaczenia, zapomnienia, sprawiedliwości.

> O pitié! Quand je pense à ceux qui vont partir...

widział on niegdyś to czarne narzędzie tortur

> Oh! ces pontons, sur qui j'ai pleuré, reparaissent.
> Avec leurs entreponts ou l'on expire, ayant
> Sur soi l'enormité du navire fuyant...

Jest to taż sama myśl, którą wyraził w r. 1848 po dniach czerwcowych, gdy miano bez sądu wysłać powstańców do kolonji, wtedy wołał:

> La déportation, c'est la guillotine séche!

O kilka kartek dalej robi smutną uwagę:

> Une facilité sinistre de mourir...

Takie błyskawice zawiera ta książka.

W gruncie wszakże Hugo nie powątpiewa o ludziach. Zawsze jest siewcą postępu i wiary w ludzkość. Widzi on zdaleka świetlane widnokręgi przyszłości. Gdyż dodaje z powodu egzekucyj na równinie Satory:

> Personne n'est méchant, mais que de mal on fait!..

Czy mam przewidzieć, że gdy Hugo znajdował się po za obrębem Francji i poezja była z niej wygnaną? Nie. We Francji poezja, to ogień nigdy nie gasnący. Tylko za cesarstwa tłumiono głos jej donośny. Napoleon I. nie lubił poetów, idealistów, jak ich nazywał; Napoleon III. jeżeli nie wypędzał ich z kraju, to przepędzał przez przetak cenzury.

Wynikiem tego było, że duch poezji drzemał, a utrzymała się tylko forma. Nie mogąc kuć marmuru, poeta rzeźbił kość słoniową, — ale też z jaką zręcznością i wykończeniem! Dzięki zręcznym tym artystom poezja stała się opisową, muzykalną. Wyszukiwano nowego rytmu. Po flecie bożka Pana nastała lira: bogactwo kolorytu, zamiłowanie w szczegółach. Dalecy jesteśmy od serdecznej a głębokiej poezji Musseta, pomimo

kilku godnych uznania prób wprowadzenia filozofji wierszowanej. Nie jest to rewolucja, jak wybuch romantyzmu. Rodzaj opisowy, tak okrzyczany w końcu Restauracji i tak dziwnie pojęty za pierwszego cesarstwa (czyż trzeba przytaczać przykład Delilla, Esmerades, Michaud?) stał się celem poezji za drugiego cesarstwa. I przyznać trzeba że w tym drugim rodzaju Francja posiada znakomite talenta.

Kohorta młodych poetów znana jest pod zbiorową nazwą *Le Parnasse contemporain*. Parnas, stary to wyraz, który należałoby zarzucić, od czasu jak Pegaz stoi na stajni. Składa się on z wielu młodych ludzi bardzo zimnych, bardzo poważnych, nieco za starych i bez namiętnych, jak sami siebie nazywają; dalej z kilku starców, zawsze młodych, wierzących, o głowach rozgrzanych entuzjazmem romantyzmu. Z liczby tych ostatnich przytoczę hrabiego de Lille i Teodora de Banville. Hrabia de Lille, który niedawno przedstawił na scenie straszliwy epizod rodziny Atrydów pod tytułem: *Les Errinys*, jest poetą pełnym uczoności. Dzieła jego są echem ksiąg greckich i sanskryckich. Czerpie on z Wed, z indyjskich epopei Ramayana i Mahabharata, przechodząc od Bramy do Zeusa, do Maya do Hery i od Walmiki do Wenus Afrodyty. Napisał on *Poèmes antiques i Poesies barbares*, przytem tłómaczył Homera i Eschylesa. Wiersz jego ze swemi wyrazami technicznemi jest oryginalny, dźwięk ma dziwaczny, jak miedziane brzękadło w muzyce.

Nikt nie dorównał Teodorowi de Banville w opisach plastycznych. W r. 1857 usiłuje on utworzyć język komiczny XIX wieku w swoich *Odes funambulesques*; próba szczęśliwa, w epoce w której nowa forma poetyczna była wypadkiem literackim. Poeta ten, chociaż czasami posługuje się sposobami Andrzeja Chenier i Gauthiera, jest pomimo to oryginalnym między fantastykami, ciągle zajmuje się formą, błyskotnością, dźwięcznością stylu i wyrzeźbianiem wierszów.

Pomiędzy poetami opisanymi wspomnieć należy: Andrzeja Pommier autora książki *Paris humoristique*, Andrzeja Lemoyne, który napisał *Le Chemin des bois* i *Les charmeuses*. Są to „młodzi“, do których dołączyć należy Franciszka Coppée, autora dość świeżego utworu *Le passant*, który miał piękne powodzenie w czasie kiedy księżna Matylda Demidoff wspierała literaturę. Zbiory poezyj Franciszka Coppée miały tytuły: *Reliquaire* i *Intimités*. W rodzaju japońskim, czy chińskim, kwitnął Catule Mendes, zięć Teofila Gauthier.

Nakonice młoda poetyczna szkoła francuska miała swego Gringoira; nazywał się on Glatigny. Ten poeta — aktor — improwizator napisał: *Les flèches d'or* i *Fifres et sifflets*, satyry polityczne o zdarzeniach i wypadkach współczesnych. Był on przyjacielem, naśladowcą i współbiesiadnikiem Teodora do Banville. Glatigny umarł mając lat dwadzieścia pięć.

Eugeniusza Vermersh umieścić należy raczej pomiędzy poetami, a nie pomiędzy pisarzami politycznymi. Jego *Père Duchesne*, którzy mu zjednał tak szczególną sławę, był tylko parodją i parafrazą sławnego dziennika Heberta. Na wygnaniu Vermersh usiłował naśladować *Chatiments* Wiktora Hugo. Napisał *Les incendiaires*.

Taką jest szkoła francuska. Jeden tylko poeta — Wiktor Hugo, około którego obracają się ci satelici. W młodzieży zamiłowanie formy, kolorytu. Dekoracja, a nie dramat. (C. d. n.)

NOWELLA
Z POD SŁOMIANEJ STRZECHY

napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

Tysiące prawd ukrył rozum ludzki w starych baśniach ludowych, w gawędach, na pozór niemających znaczenia, dziwacznych, wybujałych. A prawdy te cenniejsze, że je wykołysało serce, nakarmiło i odziało poczciwem uczuciem prastarej prostoty, dziś nielicującej z dobą rachuby, gdy rozum ubiera się w formy gładkie, wymierzone, artystyczne, gdy serce poszło w jego niewolę. Dziwaczny poniekąd Wagner, bożyszcze niektórych — niezrozumiały dla innych, ojciec nowej muzyki u Niemców, podsłuchał gawęd swojego ludu, rozkołysał się niemi — umiał je pojąć, zrozumieć i znalazł w nich to, czego nie znajdują tysiące, na co obojętnie patrzą mędrcy — znalazł w nich piękno i dobro, materjał dla artysty i filozofa. W operach Wagnerowskich rozbrzmiały się baśnie ludowe, ujęte dzielną dłonią mistrza w akordy bogate treścią i dźwiękiem.

Znalazł druha; sztuka brata się ze sztuką — pokrewne dusze zeszły się u jednych źródeł i obok Wagnera zjawia się Schwind z paletą. Czego niedopowie lutnia — dopełni pędzel malarza. Schwind wymalował w szeregu obrazów baśń o pięknej Meluzynie. Było to arcydzieło długi czas hieroglifem dla ogółu, widziano rysunek i koloryt, poznano kompozycję — niepojmowano treści, tylko wybrani poczuli ją, pojęli. Kto szuka pereł, dopatruje konch na dnie morza; chcąc poznać charakter ludu właściwy, nierybiony prądami cywilizacji, ale wrodzony, pierwotny, w tym kształcie w jakim go dłoń Boża w pierś ludu włożyła, — temu należy wejść do głębi, w tajniki życia i umieć słuchać, widzieć i pojmować.

* *

Wigilja Bożego Narodzenia! Jakiż to dzień miły, uroczysty, poważny — w świecie chrześcijańskim — a ileż milszy, uroczystszy, poważniejszy na obszarze ziem polskich, gdzie ludzie do poezji skłonniejsi, tak radzi przystrajać wszystko w słoneczne blaski idealne — z któremi często spokojnie ludziom i dobrze na świecie, a częściej łzawo i sieroco, gdy zamiast lutnią, potrzeba dłonie uzbroić żelazem, gdy zamiast pieśni śpiewać, wypadło migotnąć w oczy „święconym obrazkiem.“ Ale i wstęp na początek i jeszcze gawęda to już za wiele — więc odchodzę do Boroniowa.

W Boroniowie — niedaleko dworu, na lewo od gościńca do Tarnowa wiodącego, mieszka Jędrzej Koźma. Dom ma porządny, gospodarstwo starannie utrzymane — a dobytek widać niemały, bo i stajenka osobna i stodółka na prawo stajenki i kilka brogów się czerni.

W chacie gwarno, ludno, wesoło. Pod nalepą ogień się pali — bo mroźno na dworze, mróz skrzypi pod nogami, a wróble pochowały się pod strzechę. Po kątach izby to snopek pszeniczny, to żytny — na środku stół długi, w około ławy bieluchne, pod stołem siano zasłane, bo to wigilja Bożego Narodzenia. Na ławach w około stoła, siadł stary Koźma i żona Małgorzata, a przy nich trzy córki, dwóch synów, komornica z dzieckiem, parobek i dziewka, i Franek Pasieczny.

Franek ma swoją rolę i chatę własną i bydła dostatkiem, a ludzie mówią, że dziedzicowi pożyczył aż dwieście papierków.

Bogaty to chłopiec, więc stary Koźma rad był temu niemało, gdy Franek zaczął spoglądać na Basię. Basia to córka Koźmy najstarsza, a radby ją wydał, bo już na świętego Marcina minęło jej lat dwadzieścia. Takiego zięcia jak Franek Pasieczny nie znajdzie tak prędko.

Pomarli mu rodzice, najpierw matka, niedługo po niej i ojciec, zostawili bogactwo i jednego syna.

Frankowi Basia trafiła do duszy, lecz Basia płakała, a płakała gdy ojciec jej mówił o Franku, gdy matka go wychwalała.

— Dziękować Bogu, nie będzie może przednowku, rzekł Koźma; — ludzie mają dość ziarna, zrodziło się sporo, a jaki taki i zarobił niemało na kamieniach przy kolei.

— Tobyście też tatusiu na zapust mogli dać na nowe buty i na sukmankę, odezwała się Marysia, młodsza siostra Basi.

— Jak Bóg da, to będzie i przyodziewa i buty nowe, ale to chyba na Basi wesele — odpowiedziała Małgorzata.

— Daleko to do tego, wtrąciła Basia — rumieniąc się i blednąc na przemian — a odwracając się wstrętnie od wzroku Pasiecznego.

— A cożto myślisz, że rodzice wieczni, że starczy im zdrowia i życia na tyle, żeby cię trzymać do samej starości. Rodzice pomrą, a gdzieżbyś ty się podziała? Na toż my cię wychowali, żebyś na wstyd nasz nie wydała się nigdy? — rzekł stary Koźma poważnie.

— Jeszczem ja nie taka i stara; czas mi za mąż, a w domu mi dobrze, taż mnie niewypychajcie tak prędko od siebie, — tłomaczyła się Basia.

— Aj, to ponoś Basia mnie tylko nierada, a jakby się Pietrek mógł żenić, toby i Basi wydać się chciało, — odezwał się Franek Pasieczny.

— Nie na tom pracował do samej siwizny, nie na tom dorabiał się grosza, żebym miał krwawe mienie oddać hołyszowi, a córkęm nie na to chował, żeby całe życie biedowała z lada kim, — przemówił Koźma.

— Daj spokój stary, wtrąciła Małgorzata — co tam dziś o tem gadać; we wszystkiem wola Boża, a oto teraz niezawracać tem głowy, bo i grzech za to. A no! barszcz zjedzony, wyjdźno Basiu — weź na łyżkę dla wilkołaków.

— Ktoby tam wierzył w takie dziwy, — śmiejąc się zawołał Pasieczny.

— Wierzyli nasi ojcowie, to nam się śmiać z tego nie godzi, — rzekła oburzona Małgorzata. Pan Bóg posela za karę dusze ludzkie po świecie. Na wilję schodzą się one koło domów, a nakarmić je trzeba z litości; Pan Jezus obchodzi teraz po świecie przed samą pasterką, a gdzie spotka wilkołaka, pyta się: „A nakarmili cię ludzie?“ — Jeżeli nakarmili, to pan Jezus powie: „Zlitowali się ludzie nad twoim grzechem, to i ja się zlituję“ — i wybaczy mu grzechy i dusza idzie do czyśca. To widzicie grzech wielki zapomnieć o wilkołakach, bo jakby ich nie nakarmić, Pan Jezus nie wziąłby ich do czyśca.

— Idę już matusiu, zawołała Basia, nalała w garnuszek barszczu, wzięła łyżkę nową drewnianą i na dwór wybiegła.

Na dworze noc gwiezdzista, mroźno — wiatr dmnie z północy, śnieg iskrzy się srebrzyście.

Basia stanęła za węgłem i zawołała:

— A hu, a hu, hu, hu!

Wiatr poniósł jej słowa i zgubił je w oddali. Wzięła barszczu na łyżkę i wylała przed siebie

Barszcz ściął się lodem na śniegu. — Biegnie Basia do drugiego węgła i woła:

— A hu, a hu, hu, hu!

Z po za sadu coś się przemknęło, śnieg zaskrzypiał pod nogami, jakaś osoba się pokazała. Basia omało nie wypuściła z ręki garnuszka z barszczem i o mało nie uciekła.

— Święty duch chwali Pana Boga! — zawołała.

— I ja go chwalę, odpowiedziano.

— Basiu!

— To ty Pietrku?

— Patrzałem z sadu do waszych okien, a serce mnie boli, że być tam nie mogę przy tobie, z tobą.

— Ciężkaż moja dola!

— Gdyby nie matula, poszedłbym ja gdzie w służbę i dorobił się grosza, a tybyś czekała na mnie, a jakbym miał grosz jaki, toby ci ojcowie pozwolili; ale cóż robić? — matula chora, a niema nikogo, a jakże ją opuścić? Jak Bóg da, że wyzdrowieje, to nie posiedzę za piecem — pójdę w świat, a ty o matuli będziesz pamiętać?

— Oj Pietrku, jakby o własnej.

— Lepiejby mi było zamienić się w wilkołaka, toby się ludzie zlitowali, a tak nie mają litości na tem, co w sercu boli.

— Nie mów tak Pietrku, bo Bóg łaskaw, a ja będę twoja, bo ja za nikogo się nie wydam, tylko za ciebie.

— A jak cię zniewolą ojcowie, żebyś się za Franka wydała?

— O, co to — to nie. Nikt mnie do tego nie przyniewoli.

— Niech ci Bóg zapłaci.

— Ja tego Franka nie cierpię — ja się patrzeć nie mogę na niego.

— Niech go Bóg skarze, że się tak wcisnął pomiędzy nas dwoje.

— Choćbyś nie kochała, musisz być moją, a ty chłystku uciekaj mi z drogi! — odezwał się nagle głos Franka, który wybiegł z chaty za Basią.

— Nie muszę, i nikt mnie nie zmusi.

— Nie chłystkuj, bo się ciebie nie boję.

— A hu, a hu, hu, hu! — zawołała Małgorzata wychodząc z chaty — A gdzieżeś Basiu? czemuż siedzisz tak długo?

— Znalazła wilkołaka, to też z nim pogadała, rzekł śmiejąc się Franek.

— Nic nikomu do tego, odezwała się Basia.

— No chodźcie — nie psujcie dnia świętego.

Ucichło w koło chaty, a w chacie znowu wszyscy siedzieli za stołem, tylko Franek coś się zadumał, twarz śmiechem wykrzywił i oczyma rzucał złośliwie w około, Małgorzata kręciła się koło jadła, a Basia była blada, może ziębła na mrozie!

* * *

Szumią jodły, rozgwarzyły się stare dęby, cały las niezrozumiałą rozgadał się mową, a zresztą cicho na okół, tylko we wsi na dole czasem psy zaszczekają, albo sowa zawoła. W lesie na polance dwóch ich siedziało.

— Czegoś mi Pietrku markotny? Ja ci już i bez Basi żyć mogę. Nadaje mi się bardzo — ale skoro ja się jej nadać nie mogę — to mi i hańba łazić do starych daremnie. Znajdę jeszcze inną, nie ona jedna dziewucha. — A ty się żeń, daj ci Boże jak najlepiej.

— Bóg zapłać ci Franku; żeś przecie ulitował się mojej biedoty.— Ale starzy nie zechcą, bom biedny.

— Zechcą oni, zechcą. Niechno ja się usunę — to będą już skorsi, a tobie radzę od serca: zwiąż węzełki, kij w rękę i do roboty. Ot przy kolei zarobek nielada, toć przecie po dwieście papierków poznosili nie jedni do domu. Jak chcesz, pojedziemy razem. Ja na św. Agnieszkę pojadę z pszenicą do Tarnowa, to zabierzesz się ze mną, a i groszem ci pomogę.

Uściskali się obaj — a dęby gwarzyły — szumiały sosny, sowa się odezwała raz jeden i drugi i trzeci. (D. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Maszerowałem bardzo powoli, bo chcąc ulżyć ciężaru moim koniom, na których zwykle były pakunki, zarekwirowałem stójkę należącą mi się, i dostałem wózek wołowy, na który juki i mantelzaki kazałem złożyć. Nie mając powodu do pośpiechu, i nie chcąc z oczu stracić wózka z efektami, lazłem i ja, i koń ze spuszczonemi głowami, i marzyłem przypominając sobie różne rzeczy jakie się w stolicy przed moim wyjazdem wydarzyły.

Przypomniałem sobie, jak przed kilkoma dniami przyjechali do Warszawy Aleksander Cetner i Tadeusz Turkuł, pierwszy wracał z korpusu Dwernickiego; przedstawieni Naczelnemu wodzowi dostali mianowanie na podporuczników, przyłączeni do sztabu głównego i ozdobieni krzyżami. Wracałem z koszar po mustrze, i oddawszy konia poszedłem do Kontego na śniadanie. Ledwie zasiadłem w pierwszym salonie do wybornego bifsztyku przelatuje tamtędy Cetner, uścikaliśmy się, i on nie dał mi skończyć zabawy z bifsztykiem, tylko mnie porwał z sobą do ogródka za restauracją, gdzie w pawilonie obydwa z Turkułem oblewali (jak to mówiono) epolety oficerskie świeżo nabyte. Zastałem już kilkunastu znajomych wyższego stopnia oficerów; masę butelek szampana na stole, i pospiesznie wychylających zdrowie nowych kolegów; był tam między innymi generał Błędowski, który po amputacji nogi, pierwszy raz o kulach wyszedł na miasto, pułkownik Konarski, pułkownik Mikułowski z dawnej gwardji szwoleżerów Napoleońskich i wielu innych sztabsoficerów i oficerów schodzących się na śniadanie; nadbiegli także Henr. Fredro i Wł. Rozwadowski — pijatyka na piękne się rozpoczęła, zapomniano o jedzeniu dla pośpiechu, i wkrótkim czasie wszyscy byli pijani. Zdaje mi się, że Turkuł wyniósł się, zobaczywszy na co się zanosi, zrezygnował z motji z Cetnerem, który wszystko sam zapłacić musiał. Błędowski kazał się odwieść na kwaterę, Konarski zwykle skromny, wypiwszy na czczo masę wina, a chcąc uchodzić za trzeźwego poleciał kłusem przez Miodową ulicę bez czapki i pałasza. Henryk zaciął się koło studni na dziedzińcu i tam koniecznie nocować był zdecydowany, ledwie się udało znajomym oficerom zaprowadzić go do kwatery wraz z Rozwadowskim. Ja się niby dobrze trzymałem i bez obcej pomocy puściłem się do naszego pomieszkania, którego brama była naprzeciwko bramy Kontego. Zdaje się, że musiałem stracić dyrekcję, bom zaszedł do obok stojącego takiego samego jak nasz domu. Stanąwszy w sieniach, rozglądam się na wszystkie strony; patrzę, schody po lewej takie same jak u nas, idę do góry na pierwsze, a potem na drugie piętro, patrzę znów na przeciwko schodów drzwi takie jak u nas, wchodzę do pokoju; komoda koło drzwi, tak jak u nas, więc jestem w swojej kwaterze, nic nie patrząc przed siebie, co się w pokoju dzieje; kładę na komodzie furażerkę i pałasz, zdejmuję ładownicę, którą także tam lokuję, a zacząwszy rozpinać huzarski mundur, widzę, że jakaś młoda dama bierze mnie za rękę i zapytuje: „co ja tu robię“. „Jestem przecież u siebie, odpowiedziałem, ale bardzo szczęśliwy jestem, że tak piękną panią zastaję w mojej kwaterze“ co wymówiwszy, chcę ją wziąć za talję; *) ona się wykręciła a głośny śmiech dwóch jeszcze przy oknie siedzących młodych kobiet uderzył mnie niespodzianie. Raptem otworzyły się drzwi, wszedł porucznik Paszkiewicz Belwederczyk, który zobaczywszy, że na niepewnych nogach zaszedłem do cudzego domu, pospieszył za mną, opamiętałem się, a zabrawszy moje z komody efekta dałem się Paszkiewiczowi wyprowadzić, który mnie już zawiódł do kwatery. Na drugi dzień poszedłem w południe z wizytą i przeprosinami do tych pań; naśmieliśmy się serdecznie z wczorajszej pomyłki. Ta pani była to żona znanego mi jeszcze ze Lwowa i Lipska księgarza B*... z dwiema siostrami — bywałem potem często w tym domu i bardzo się dobrze w ich miłem towarzystwie bawiłem. Odprowadzony więc do kwatery, gdzie Henryk i Włodzio już chrapali, ja się także rzuciłem na moje posłanie i zasnąłem jak kamień. Było to już około 4tej popołudniu. Spaliśmy do późnej nocy, dopiero nas głód po tej pijatyce na czczy żołądek poprzebudzał. Wyszliśmy wszyscy trzej, żeby się czem posilić. U Kontego już było zamknięto, głód dokuczał, więc zaszliśmy aż do Dorwilowej w chwili kiedy garsony zabierali się sami do wieczerzy i do zamknięcia restauracji. Dostaliśmy ledwie trochę pozostałych zimnych potraw i pomaszerowali trochę posileni a kompletnie wytrzeźwieni do naszej kwatery. Edward Fredro zbudzony raptem, zwyczajem swoim wpadał w pasję. Tylko co się zaczeliśmy rozbierać, słyszymy na pierwszem piętrze jakieś tłuczenie się po pokoju tuż po nad nami; sądząc, że napadnięto Maksymilianów, czego się on obawiał, porywamy pałasze i pistolety i zbiegamy na dół. Cóż się pokazuje?

Stary froter, Moskal kupiony w Petersburgu, nie mogąc spać w nocy, a mając zamiłowanie do woskowania posadzki, odbywał tę operację zawsze przy świecy, żeby ranek mógł mieć spokojny. Naśmieliśmy się z jego miny i figury, bo był garbaty i w toalecie bardzo lekkiej, i wróciliśmy dokończyć noc przerwaną głodem i tą katastrofą.

Maszerując, sam się serdecznie naśmiałem z tego wspomnienia. Wieczór ciemny już się zaczął robić, jakem się zbliżał do Raszyna, sławnego z bitwy 8 tysięcy młodego wojska przeciw 36 tysiącom starego austrjackiego żołnierza. Zajechałem do jakiejś oberży, dosyć brudnej, i napełnionej żołnierzami różnej broni, wybierającymi się z majorem P. na jakąś partyzantkę. Całą noc pili, hałasowali jak hołota ostatniego gatunku. Oka nie mogłem zamrużyć; nad ranem

*) I w tym obrazie — ten sam wzgląd co w poprzednich, wstrzymuje nas od wszelkich zmian i modyfikacyj. (P. R.)

się to gdzieś porozchodziło, ja wstałem i poszedłem do burmistrza za furą, którą jak mi przyprowadzili, pomaszerowałem dalej. Miejscowość przez którą szedłem ogołoconą była z wojska; gdzie niegdzie tylko spotykałem oddzialiki rezerw piechoty, w wielkiem zaniedbaniu; niedbałość o rezerwy była zbrodnią, o której nikt nie myślał. Żołnierze obdarci, nie ćwiczeni w obrotach, wałęsali się po miasteczkach i wioskach, stając się prawdziwym ciężarem dla mieszkańców; a nikt z komendantów nie zadawał sobie pracy, żeby ich jak najprędzej do odpowiednich pułków odsyłać.... Największa była wada Naczelnego wodza, że dozwalał ażeby najniezdolniejsi oficerowie, i podoficerowie najgorszej konduity do rezerw byli odsyłani; przy takiej przemagającej ilości oficerów jaką posiadała armja, można było niezdolnych zupełnie oddalać, ich miejsce innymi zastępować, co po Warszawie i Krakowie bruki zbijali, a do rezerwy energicznych, wytrawnych posłać; armja byłaby na tem zyskiwała, a 20.000 nieczynnej, bezbronnej rezerwy nie byłoby się dostało w ręce Moskali, jak się to później stało.

W kilka dni po wyjściu z Warszawy doszedłem do Radomia, ładnego wojewódzkiego miasta, z dużym ogrodem przyległym, którego ulice, jak promienie koła z jednego punktu się rozchodziły i piękny przedstawiały widok na wzór ogrodu w Carlsruhe. — Z Radomia jeszcze miałem 3 marsze do Staszowa, gdzie nakoniec, jako do celu mego przeznaczenia zaszedłem w południe.

Zajechałem do prywatnego domu jakiegoś sukiennika, gdzie kwaterą stanąłem, a rozlokowawszy się i przebrawszy, poszedłem zameldować się kapitanowi Strachockiemu, którego miejsce miałem zastąpić. Strachocki uszczęśliwiony, że się raz już pozbędzie prowizorycznej komendy 4go szwadronu, zaraz mi zdał komendę i wręczył papiery jakie miał, sam zaś zaraz po tem zaczął wybierać się i w nocy pojechał. (C. d. n.)

Z za więziennej kraty.

Poezje więźnia stanu z r. 1846. *)

I.

Matka przyroda.

Gdzie pędzel — gdzie są farby — gdzie szukać wyrazu,
By oddać, by wyśpiewać przyrodo twe wdzięki?
O! nie chmurz się na widok słabej więźnia ręki,
Co chce kreślić oblicze twego krajobrazu.

Westchnęłaś wiatrem — jam cię zrozumiał odrazu,
Posyłam ci nawzajem westchnienia — piosenki;
Ty je zlewasz swem tchnieniem w harmonijne dźwięki...
O luba! ty mię kochasz... a oni — jak z głazu.

Milczą i depcą ciebie, a ja patrząc na to
Rzucam się — płaczę — to znów wyciągam ramiona
I padam — odepchnięty zardzewiałą kratą!

Tak cierpi serce moje codzień — i nie kona!
O matko! odbierz syna — przytul go do łona —
Tam już boleć nie będzie nad wolności stratą.

II.

Schyłek dnia letniego.

Na zachodzie się snuje chmury sina wstęga,
Konający żar słońca ozłaca jej szlaki;
Pod nią jeszcze gorej wody — niwy — krzaki,
A ona jak wąż pełza krańcem widnokręga.

O Boże! jakże wielką jest twoja potęga!
Słyszysz — chórem Cię chwali całe przyrodzenie...
Ja tylko milczę, chociaż w mej piersi natchnienie;
Ach! śpiewa za mnie łańcuch, co me nogi sprzęga!

Słońce zaszło, lecz jeszcze odblask jego święty
Morzem ognia zalewa szafiru otchłanie,
A tam księżyc nieśmiały — stanął jak zaklęty.

Zda się słuchać, jak grają dzwony pozdrowienie
Przenajświętszej Dziewicy. — I nasze więzienie
Brzmi hymnem pozdrowienia — wiekuisty Panie!

III.

Burza w nocy letniej.

Anioł ciemności skrzydła roztoczył nad światem, —
Strwożone gwiazdy przed nim uciekły za chmury;
On z obliczem demona — zdradziecki, ponury,
Po obszarach wszechziemi makowym trząsł kwiatem.

I było cicho; ziemia jednym była grobem...
On jak orzeł nad ziemią zawisnął u góry;
Czasem krążąc czarnemi zaszeleścił pióry,
Czasem nogą glob trącił i kołysał globem.

I sen wszystkich uwięził; — a on śmiał się w duszy
I ciągnął chmurę ciężką, chmurę piorunową
I szeptał: „Spijcie, spijcie, wnet ja wam nad głową

Zagram, że i umarły w grobie się poruszy!“
Dał hasło — i lunęła światłem błyskawica —
Gromy za nią — za niemi — z wichrem nawalnica.

*) Otrzymaliśmy szereg sonetów, rzadkiej wartości, pisanych w więzieniu przez nieznanego autora, w r. 1846. Gdyby autor żył, raczy zgłosić się do naszej Redakcji. Manuskrypt jego zawarty w dwóch zeszytach jest pisany ołówkiem. (Prz. Red.)

Pogadanki.

XI.

Patologja i terapja chorób teatru lwowskiego są przedmiotem kilku rozpraw, które pojawiły się temi dniami. Rozprawy te tak są wyczerpującemi, że już nic do nich dodać nie podobna, a natomiast dałoby się ująć nie jedno. Między konkluzjami broszury p. Stanisława Dobrzańskiego mianowicie, znajduje się punkt, na który żadną miarą pisać się nie można. P. Dobrzański chce z jednej strony, aby sejm przyjął scenę polską we Lwowie na koszt kraju, z drugiej strony zaś, aby Wydział krajowy zaniechał utrzymywania stałej opery polskiej, póki nie powstanie drugi budynek teatralny, a to z tego powodu, iż zdaniem p. Dobrzańskiego, teatr i opera muszą mieć po 30 przedstawień w miesiącu, a inaczej utrzymać się nie mogą. Potrzeba tedy osobnego gmachu dla opery, a tymczasem, należy ją suspendować jak urzędnika, który źle pełni swoje obowiązki. P. Dobrzański myli się, jeżeli mniema, że sejm przystanie na te warunki, albo że na takowe przystać mu wypada. Sejm oprócz obowiązkowej subwencji, 4.200 złr. płaconej teatrowi, przeznaczył jeszcze 12.000 złr. w tej myśli jedynie, że będzie utrzymywaną stała opera polska. Teatr sam, mając zaledwie 10 przedstawień miesięcznie i mając do wytrzymania konkurencję sceny niemieckiej, nierównie lepiej subwencjonowanej, nie tylko utrzymywał się o 4.200 złr. rocznej subwenaż do zniesienia przywileju skarbkowskiego, ale nawet przedsiębiorcy, jak n. p. Nowakowski i Smochowski, jakoteż Miłaszewski, robili wcale niezłe interesa. Nadto, jeżeli przedsiębiorcy niemieccy w mieście nie mającem stałej publiczności niemieckiej, za 10.000 złr. rocznie podejmowali się utrzymywać teatr i operę, a nawet ostatn z nich, Miłaszewski, wcale na tem nie stracił, to 12.000 złr., które sejm przeznaczył na utrzymanie opery polskiej nie podniosą jej wprawdzie do znaczenia pierwszo i drugorzędnych zakładów tej kategorji, ale zawsze kwota ta wystarczy na taką operę, jakiej w danych warunkach wymagać można. Jeżeli opera da 10 przedstawień miesięcznie, czyli 120 rocznie, a z każdego wieczora osiągnie jako minimum zwykłe we Lwowie, 400 złr. przychodu, wyniesie to na rok 48.000 złr. do których dodawszy 12.000 subwencji, otrzymamy roczny przychód 60.000 czyli 5.000 złr. na pokrycie wydatków miesięcznych. Jest to wcale przyzwoita suma i nie trudnoby o przedsiębiorcę, gdyby rozpisano konkurs na niego w tych warunkach. Żądanie zaś, aby teatr i opera miały po 30 przedstawień miesięcznie, jest przesadnem nietylko co do opery, ale i co do teatru. Potrzebaby potroić personal opery, a podwoić teatralny, aby dać tyle przedstawień — przeciętny zaś dochód wieczorny zmniejszy się w miarę, jak przybędzie wieczorów. P. Dobrzański wie zapewne z doświadczenia, że publiczność lwowska jak każda inna, na rozrywki swoje przeznacza pewną minimalną, i pewną maksymalną kwotę. Jest to aksjomat, którego prawdę zbadali wszyscy z kolei dyrektorowie do tego stopnia, że za odstąpienie wieczoru na przedstawienia nadzwyczajne żądali zawsze więcej, niż zdawało się słusznem. Czynili oni to z powodu, że publiczność zapłaciwszy, dajmy na to, 1.500 złr. za jedno nadzwyczajne przedstawienie, wysiliła się i odbijała to później najmniej przez tydzień na dyrektorze, stroniąc od zwykłych jego przedstawień. Przykład ten dowodzi, że jeżeli 10 przedstawień opery w miesiącu przyniosą n. p. 6.000 złr. a 20 przedstawień dramatów i komedji także 6.000 złr. to 30 przedstawień jednego i drugiego rodzaju także nie przyniosą więcej, a przynajmniej nie tyle, by opłaciły się zwiększone koszta. Projekt p. Dobrzańskiego, jako pochodzący od człowieka doświadczonego w materji, o której pisze, nie może tedy być pomyślanym na serjo, i mimowoli obudza podejrzenie, że autor starając się o kierownictwo teatru, pragnąłby uzyskać 16.400 złr. subwencji, a uwolnić się od obowiązku utrzymywania opery. Zamiaru tego niechajby zaniechał p. Dobrzański. Żaden człowiek nieuprzedzony nie może mieć nic przeciw jego staraniom o dyrekcję teatru, ale gdyby rezultatem tych starań miało być zwinięcie opery, naówczas Wydział krajowy miałby obowiązek zatrzymać nadzwyczajną subwencję, przez sejm uchwaloną, i wypłacić teatrowi tylko zwykłą subwencję 4.200 złr. — na p. Dobrzańskiego zaś spadłby ciężki zarzut, iż interesowi własnemu poświęcił interes publiczny i narodowy.

Zdaje się w ogóle, że sprawa teatru lwowskiego załatwić się da pomyślnie jedynie przez rozdzielenie subwencji między teatr i operę, i przez utworzenie dwóch osobnych przedsiębiorstw, z których każde miałoby przeznaczoną dla siebie pewną ilość wieczorów w gmachu skarbkowskim. Żądanie, by sejm wziął scenę lwowską na koszt kraju, i ustanowił dla niej zarząd na wzór np. teatrów cesarskich w Wiedniu, jest żądaniem bardzo wprawdzie uzasadnionem ze względu na moralne i intelektualne interesa, którym teatr służyć powinien — ale niestety, warunki materjalne nie pozwalają nam spodziewać się urzeczywistnienia tej myśli. Sejm nie jest szafarzem zasobów kraju, ma on tylko prawo nakładać na kraj pewną nadwyżkę ciężarów dla zadośćuczynienia potrzebom, które z głównych i właściwych zasobów pokrywane nie są. W takich okolicznościach, największą rzeczą, jakiej żądać można, jest to, aby teatr lwowski miał

subwencję taką, jak krakowski, a nadzwyczajna kwota 12.000 złr. aby była obróconą na utrzymanie opery. Ponieważ kwoty te nie mogą być przekroczonemi, i ponieważ ani Wydział krajowy ani żadna komisja specjalna nie zdołają przy takim budżecie utrzymać teatru nie ulegającego żadnej naganie, więc jedyną drogą, jaką obrać można, jest oddanie sceny przedsiębiorcom, którzy się tego podejmą. Uważajmy zresztą, że gdyby sejm, według projektu p. Dobrzańskiego, ustanowił jakąś władzę administracyjną dla teatru, a kierownictwo sceny powierzył dyrekcji artystycznej, między tą dyrekcją a administracją przyszłoby wkrótce do zatargów, bez których nieobeszło się dotychczas nigdzie, gdzie stworzono stosunki podobne. Los dyrektora, obok którego kto inny ma klucze od kasy, nie jest bynajmniej zazdrości godnym—dość jest w tej mierze rozpatrzyć się w wiecznych sporach cesarskiej intendantury w Wiedniu z dyrektorami. Dyrektorowie mają gust wytworny i chcą przejąć nim publiczność: dają sztuki klasycznej wartości i pragną angażować artystów pierwszorzędnych—intendant zaś woła o sztuki kasowe i o tanie gaże. W rezultacie, nikt nie kontent, ani krytyka, ani kasa. Czyliż nie lepiej, jeżeli się znajdzie przedsiębiorca, aby on sobie sam łamał głowę nad tem, jak dogodzić i kasie i krytyce?

* * *

A propos krytyki — obeszła ona się temi dniami nader wspaniałomyślnie z niejakim Juljuszem Słowackim. Mają wyjść z druku jego listy, a donosząc o tem, ktoś w kronice „Gazety Narodowej" nadmienił, że Mindowe tego samego autora, wcale dobrze sprezentował się na scenie tutejszej. *Es ist doch schön von einen grossen Herrn, selbst mit dem Teufel so menschlich zu reden.* Kronikarz widocznie pragnął zapewnić względy publiczności nowo wydanym „listom" i dla tego odezwał się tak pobłażliwie o utworze autora nieznanego wprawdzie, ale rokującego dość piękne nadzieje. „Sankt-Pietierburgskija Wiedomosti" gotowe wykraść „Gazecie" tego kronikarza, którego szlachetny sposób myślenia tembardziej godnym jest szacunku, im surowszemi są zapatrywania jego obozu na zadanie krytyki. Już nawet krytyka naukowa, zdaniem przez dr. Żulińskiego w fejletonach „Gazety" wypowiedzianem, ma nie być niczem innem, jak tylko „czujnością nad czystością i prawością zdań w imieniu nauki wypowiadanych" — o ileż więcej stosować się to musi do krytyki literackiej! Tymczasem pomieniony Słowacki jest pisarzem nierównie niemoralniejszym od takich mistrzów pióra, jak np. znakomity Bogumił Letniowodzki. „Czystość i prawość" jego zdań nie jest bez nagany, zwłaszcza że pozwolił sobie raz alluzji do pewnych rycerzy „żywych" i nie wierzył, by przyszły Mesjasz narodu musiał koniecznie chodzić w czerwonym kontuszu i złotolitym pasie. Ten poeta, o którym ś. p. Adam Paygert powiada:

> Wielki syn bólu — Prometeusz lacki,
> Mistrz mój, kochanek mej duszy — Słowacki....

był ojcem całego pokolenia skeptyków, kyników i — bajronistów, tak dalece, że nawet wybrane później duchy za młodu, obałamucone jego kierunkiem, rymowały „urywki z pod stóp Beniowskiego," a wielka niewiara w wielkość tego świetnego szeregu pisarzy, z których powyżej wymieniłem jednego, jest jego dziełem. Tem większą tedy bezstronność krytyka, polecającego jego „listy." Co się zaś tyczy Mindowego, mniemam, że z wielkim dla sceny pożytkiem dyrekcja teatru mogłaby przedstawić z kolei wszyskie dramatyczne utwory Słowackiego. Jeżeli próbowano z powodzeniem przedstawić „Konfederatów barskich" jak świetnie wypadłby „Ksiądz Marek" albo „Srebrny sen Salomei!" „Konfederatom" brak przecież głównej rzeczy, któraby utwór ten czyniła pożądanym na scenie — brak im mickiewiczowskiego języka. Świeżo Wiktor Hugo w genjalnych paradoksach wygłosił zdanie, że język, dykcja, styl, są czemś więcej niż prostą, zewnętrzną formą, że wielka część treści w nich się zawiera. Porównanie Wenus hotentockiej i Wenus z Milo, użyte przy tej sposobności, utkwiło niezawodnie w pamięci każdemu, co czytał w poprzednim numerze „Tygodnia" „Moich synów" wielkiego poety francuskiego. Jest w tym paradoksie więcej prawdy, niźli jej nieraz wyznać śmiemy — n. p. wobec Szekspira. Co do „Konfederatów," nie wiele potrzeba odwagi, by wypowiedzieć zdanie, że brak im podniosłej, prawdziwie poetycznej dykcji, bo nie jest to dykcja Mickiewicza. Ubytek tej zalety sprawia, że tylko zapał patrjotyczny widzów może im przedstawienie tej sztuki uczynić znośnem. Natomiast byłyby przedstawienia „Księdza Marka" i „Srebrnego Snu" prawdziwemi godami artystycznemi i poetycznemi. Czy można sobie wyobrazić sympatyczniejszego bohatera nad Sawę, tragiczniejsze sceny nad rokosz chłopski z wszystkiemi jego okropnościami? Ów regimentarz „złoty, jak kudłaty lew" gdy leci z szablą na okopy hajdamackie—owa fantastyczna księżniczka, on Semeńko, co „prosi panów o śmierć, nie o naukę" — tajemniczy nakoniec Wernyhora — wszystko to są postacie, w których nie wiedzieć, co więcej podziwiać, czy ich liryczną głębokość, czy dramatyczny obraz, w jaki się układają. Rzecz dziwna i dowodząca chyba, że nie mamy kompozytorów, jeżeli żaden z nich dotychczas nie pokusił się o zrobienie opery ze „Srebrnego snu Salomei." Tekst sam śpiewa, kompozytor potrzebowałby tylko wsłuchać się w niego i spisać nutę, kiedy regimentarz w całej swojej strasznej powadze wchodzi z sali sądowej i pyta:

> „Czemu tu gwary
> Ucichły, jak wroni skwir?
> Co to za srebrny dziad stary—
> Wygląda, jak dawny król lir?"

Ten siwy dziad z lirą, to duch ludu ruskiego, który płacze a nie przeklina „panów" i wieszczy im przyszłość z dźwięku starych dum ukraińskich, choć mają ręce czerwone od krwi ukraińskiego ludu:

> „A stepowe gdzieś miesiące,
> Wiedzą, o czem ja nie wiedział:
> Czemu ja przez usta klnące
> Wam przekleństwa nie powiedział...."

Dramat ten może dla dyrekcji i jej kasy mieć nawet wartość okolicznościową, uroczystość św. Salomei przypada bowiem 29. listopada wraz z św. Saturninem, i jest o tem wyraźna wzmianka w ostatnich słowach regimentarza. Przyłączam się tedy z moją protekcją do wspaniałomyślnej protekcji kronikarza „Gazety Narodowej," polecając dyrekcji teatru Juljusza Słowackiego jako pisarza, zasługującego na uwzględnienie w repertoarzu.

* * *

Nim skończę dzisiejszą pogadankę, zawiadomić muszę przyjaciół i przyjaciółki emancypacji kobiet o wielkiem niebezpieczeństwie, które zagraża ich usiłowaniom, oczywiście ze strony Prus, bo wszystko złe ztamtąd idzie. Żona niemieckiego następcy tronu, córka, jak wiadomo, królowej Wiktorji, wykołatała u ministra przyjęcie do służby publicznej pewnej liczby telegrafistek i pocztarek. Niedawno zwiedzała biura i postrzegła, że jej protegowane urzędują w strojach przedstawiających wszystkie ekscentryczności dzisiejszej mody. Następczyni tronu udzieliła tego postrzeżenia swojego ministrowi, i wnet pojawił się ukaz, regulujący kostjumy urzędników płci żeńskiej. Minister pragnie, a co gorsza, nakazuje, by podwładne mu damy nie naśladowały ekscentrycznych mód francuskich — każda z nich, według regulaminu, wyglądać ma jak cnotliwa *Gretchen* nim poznała Fausta a wraz z nim, perły, brylanty i atłasy. Jest przepis, ile cali fryzura może odstawać od głowy, ile centymetrów obwodu może mieć *turniura*, i do jakiego stopnia wolno gorsować się *im Reiche der Gottesfurcht und edlen Sitte*. Jeżeli minister austrjacki zechce naśladować swojego pruskiego kolegę, i jeżeli w Moskwie, jak zapewniają, zwolennik emancypacji hr. Tolstoj dostanie dymisję, to wkrótce w całej środkowej i wschodniej Europie nie będzie ani jednej urzędniczki, bo któraż z pań lub panien zechce poddać się takiemu tyrańskiemu regulaminowi mundurowemu? Ciekawa rzecz, rychło-li obok ultramontanów, partykularystów, socjalistów itd. zorganizuje się pod sztandarem szynionu i turniury, nowa, najniebezpieczniejsza, kobieca opozycja przeciw hegemonji pruskiej.

Jan Lam.

MOI SYNOWIE
WIKTORA HUGO

przekład

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Dwaj ci bracia dopełniają się wzajem: starszy jest promieniejący, młodszy poważny. Powaga to pociągająca jak u młodego Sokratesa. Obecność jego wzmacniająco działa. Nic zdrowszego, ani bardziej uspokajającego nad niewzruszoną pogodę zadowolonego pracownika. Młody ten dobrowolny wygnaniec zachowuje w samotni, w której pozostanie może na zawsze, wytworne nawyknienia przeszłości, a jednocześnie nie leni się do pracy. Chce budować i buduje pomnik; nie traci jednej godziny, ma cześć religijną dla czasu; łączy w sobie nawyknienia paryżanina i mnicha. Pokój jego natłoczony księgami. O świcie słyszy nad swoją głową, na dachu domu, chód kogoś pracującego. To chód ojca. Kroki te budzą go: wstaje i pracuje także. Co robi, wspomniano już wyżej. Przekłada Szekspira; przedsięwzięcie nie małe. Przekłada Szekspira, odtwarza go, komentuje uprzystępnia dla wszystkich; wycina, stopień po stopniu, w skale i w lodowcu jakieś przyprawiające o zawrot wschody, prowadzące aż na ten szczyt. Słusznie powiadają, że wygnańcy są ambitni; ten marzy o poufałym stosunku z genjuszami, powiada sobie: później odtworzę w ten sam sposób Homera, Eschylesa, Izajasza i Danta. Tymczasem, trzyma się Szekspira. Co za świetna i kusząca zdobycz! Wprowadzić Szekspira do Francji, jakiż niezmierny obowiązek! On bierze ten obowiązek na siebie, zaciąga się weń, zamyka się w nim. Wie że całe życie jego od tej chwili związane będzie tem przyrzeczeniem danem

w imieniu Francji wielkiemu mężowi Anglji; wie, że ten wielki mąż Anglji, jest jednym z wielkich mężów całego rodu ludzkiego i że służyć jego chwale to znaczy służyć cywilizacji samej, wie że takie przedsięwzięcie jest nakazującem, że będzie wymagającem i dumnem, i że raz rozpocząwszy, przerywać go ani porzucić nie wolno; wie, że to zadanie lat dwunastu; wie, że młodość jego przejdzie na tem, wie, że to celka innego tylko rodzaju, że skazuje się na żywot klasztorny, i że gdy kto raz wejdzie w taki trud, jest w nim zamurowanym; wie i przystaje na to — i tak samo jak przyjął wygnanie dla ojca, przyjmuje więzienie dla Szekspira.

Nagrodą jego, sam ten wysiłek. Chciał przełożyć Szekspira i oto Szekspir przełożony. Odnowił przerażającą walkę nocną Jakóba: pasował się z Aniołem i nie ugiął się. Jest pisarzem — jakiego na to było potrzeba.

Angielszczyzna Szekspira to nie angielszczyzna naszych czasów; konieczną było położyć na tej angielszczyźnie z szesnastego wieku, francuzczyznę dziewiętnastego, co jest rodzajem pasowania się z sobą dwóch języków; najgroźniejszem niebezpieczeństwem, w jakie kiedykolwiek rzucić się może tłumacz. Ten młodzieniec miał dosyć zuchwalstwa na to. Co postanowił dokonać, dokonał. Ważną było rzeczą nic nie stracić z tego niezmiernego skarbu. Nakrył więc Szekspira językiem francuskim i potrafił przez nierozplątaną sieć obudwu djalektów, położonych jeden na drugim, przeprowadzić na wierzch całą promienistość tego genjuszu.

Ażeby dojść do tego, musiał przy każdem zdaniu, przy każdym wierszu, przy każdem prawie słowie wydobyć ze siebie niewyczerpaną pomysłowość stylu. Podobne zadanie wymagało w tłumaczu twórcy. On był nim.

Pisarz dowodzący oryginalności swojej przekładem, rzecz to dziwna i rzadka. Ale tłumaczyć — nie wystarcza mu. Stawia na okół Szekspira, niby mur poprzeczny wzmacniający katedrę, całą budowę swoją własną, budowę łączącą w sobie filozofję, krytykę, historję. Jest lingwistą, artystą, gramatykiem, erudytem. Uczony i bystry; wszędzie mędrzec, nigdzie pedant. Nagromadza i przywodzi do porządku warjanty, przypiski, przedmowy, objaśnienia. Skupia wszystko, co rozsypano w okolicach Szekspira. Niemasz jednej szczeliny w tej niezmiernej pieczarze, do którejby nie przeniknął. Wkopuje się w głąb tego genjuszu.

V.

I w ten to sposób, po dwunastu latach trudu, obdarza Francję Szekspirem. Prawdziwi tłumacze posiadają tę osobliwą władzę bogacenia jednego ludu, nie ubożąc drugiego, biorą—nie zabierają, i obdarzają pewien naród jakimś genjuszem, nie odejmując go jego ojczyźnie.

Długie to odtwarzanie odbywa się bez straty jednego dnia. Żadnej przerwy, nigdy przestanku, żadnej luki, żadnego ustępstwa znużeniu; każda jutrzenka przywodzi pracę ze sobą, *nulla dies sine linea:* jest to zresztą piękna zasada hardych duchów. Dzieło, które wykonywamy i widzimy rosnące już samo przez się odpoczynek daje. Żadne inne wytchnienie nie jest niezbędnem. Młodzieniec ten tak samo się na to zapatruje; nigdy nie opuszcza swojej pracy, budzi się co rano wraz z odgłosem kroków pracownika na górze, a gdy w czas zejścia się rodziny do stołu, schodzą obadwaj, syn i ojciec, od pracy swojej, zamieniają słodki uśmiech.

Samotność, ścisłość związków rodzinnych, zaparcie się, uspokajanie tęsknoty do kraju — pracą myśli — oto jest żywot tych ludzi. Widnokręgiem ich mgła, fal i wypadków, muzyką wicher burzy, widowiskiem ruchliwość jednej nieskończoności: morza pod spokojem innej nieskończoności: nieba. Rozbitkami są, patrzą więc na przepaści. Wszystko im zatonęło, okrom sumienia; z okrętu ich została tylko bussola. W rodzinie tej nikt nie posiada niczego dla siebie wyłącznie; wszystko wspólne: wysiłki, opór, wola, dusza. Ramiona ojca i synów ściśniają się coraz mocniej w uścisku.

Może być, że cierpią, ale nie zwierzają się z tem sobie; każdy skupia się i wypogadza w swojej pracy, w przerwach wieczorem, na zebraniach rodziny, na przechadzkach po wybrzeżu, rozmawiają. O czem? O czemże mogą mówić wygnańce, jeżeli nie o ojczyźnie. Tę Francję swoją — oni uwielbiają! Im wygnanie cięższe, miłość większa. Zdala oczu, blisko serca. Posiadają wszystkie wielkie przekonania w duszy, co im daje wszystkie wielkie pewności. Robili, jak umieli najlepiej, zrobili, co mogli. Jakiejż za to nagrody żądają? Jednej—jedynej. Oglądać ojczyznę. I ujrzą ją. Jakżeż tam byli szczęśliwi i jakże jeszcze szczęśliwymi być mogą! Zaiste błogosławiona godzina powrotu wybije. Oczekują tam na nich. O tem rozmawiają wygnańcy. Po skończonej pogadance, każdy powraca do pracy. Wszystkie dni podobne do siebie. Tak trwa lat dziewiętnaście. Z końcem dziewiętnastu lat, wygnanie się kończy; powracają, już są w ojczyźnie. Czekają tam na nich, w istocie. Na synów grób, nienawiść na ojca. (C. d. n.)

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

(Ciąg dalszy.)

Dnia 9. lipca stanęły oba statki ekspedycji niemieckiej u wyspy Jan Mayen, zkąd zwróciły się szukać drogi do wybrzeży Grenlandji przez kry lodowe, opasującego je prądu polarnego. Trudne to i niebezpieczne poszukiwanie zajęło całą drugą połowę lipca. Panujące w tej porze często gęste mgły rozdzieliły oba statki. Germania przebiła się szczęśliwie dnia 5. sierpnia do wyspy Sabine, należącej do grupy Pendulum, odkrytej przez Claveringa w r. 1823, Hansa zaś ustrzegła w lodach i nie ujrzała już nigdy więcej swojej towarzyski, a o jej strasznym losie dowiedziano się dopiero w rok potem od uratowanych cudownym prawie sposobem rozbitków.

Kapitan Koldewey starał się tymczasem wywiązać ze swojego zadania. Nie było to jednakże rzeczą łatwą. Ku południowi ciągnął się wprawdzie otwarty, kilka mil morskich szeroki kanał, ale ku północy stały lód, owarowujący wybrzeża Grenlandji, stykał się prawie z ruchomemi krami, które prąd polarny unosił, tak że Koldewey zaledwie do wyspy Shannon (75° 31' płn. szer.) mógł się przebić. Straciwszy nadzieję posunięcia się wyżej ku północy, zmuszony był ograniczyć się, na mały stosunkowo obszar i poświęcił pozostający jeszcze krótki czas jesieni r. 1869 na zdejmowanie wybrzeży i wysp, od wyspy Shannon aż po 34°, na badanie prądów i przypływów, robienie postrzeżeń meteorologicznych i wszelkiego rodzaju zbiorów. Tak na wyspie Shannon, jak i na wielu innych miejscach spotykano często woły piżmowe i renifery, wypasające się na trawnych łąkach tej zimnej strefy, porastających tuowdzie nawet jeszcze karłowatemi brzózkami i wierzbami. Dnia 13. września zarzucono znowu kotwicę u południowych wybrzeży wyspy Sabine, i urządzono się na zimówlę. Okręt, okryty żaglowem płótnem i ogacony śniegiem i lodem, przeistoczył się w dom mieszkalny. Przed nadejściem nocy zimowej przedsięwzięto jeszcze dwie wycieczki saniami i na pierwszej z nich odkryto pokłady węgla brunatnego, na wyspie Kuhn, na drugiej zaś rozległy fjord, który nazwano Tyrolskim. Dnia 5. listopada znikło nakoniec zupełnie słońce pod horyzontem, aby dopiero d. 3. lutego roziskrzyć znowu swojemi promieniami olbrzymie lodowce grenladzkie. Robienie postrzeżeń magnetycznych i termometrycznych zajmowało głównie czas wśród tej posępnej nocy polarnej, w której zimno dochodziło w miesiącu lutym do —32° R. Dopiero w marcu mógł Koldewey przedsięwziąć nowe wycieczki saniami, w których dotarł do 77° płn. szer. W maju poczęło już tajać, ale dopiero w początkach lipca można było uwolnić statek, przecinając piłami zawsze jeszcze 3' gruby lód. Nim wyprowadzono okręt z zimowej przystani zrobiono na czółnach wycieczkę do wyspy Claveringa, dla zwiedzenia osady Eskimosów, którą ten podróżnik przed 46 laty tam był znalazł. Zastano ją jednakże, podobnie jak i wszystkie inne osady Eskimosów w tej okolicy, opuszczoną; mieszkańcy ich musieli wywędrować albo wymrzeć. Ku końcowi lipca wyruszyła Germania znowu ku północy, ale powyżej 75° płn. szer. zamknęły jej lody i tym razem drogę. Przekonawszy się ze szczytu jednej z gór wyspy Shannon, że jak daleko wzrok sięgał, wszędzie morze stały mościł lód, nie pozostawało nic innego, jak zwrócić się ku południowi i poprzestać na dokładniejszem rozpoznaniu wybrzeży Grenlandji pomiędzy 75° a 73° płn. szer.

„Nie bez wzruszenia pożegnaliśmy przysłań — czytamy w dzienniku Germanii *) — w której znaleźliśmy byli schronienie na zimę. Z każdym urwiskiem skalistem tych wybrzeży, niknących teraz na zawsze z przed oczu naszych wiązały się wspomnienia przebytych trudów; każde z nich było powiernikiem naszej radości i naszych, smutków! Już po dwoch dniach podróży inny otoczył nas świat. Prąd morski unosił wprawdzie takie same iskrzące się i mieniące w promieniach słonecznych iglice i płyty lodowe, i po szczytach wybrzeżnych bieliły się takie same lodowcei śniegi, ale rozpostarte pomiędzy górami doliny okrywały zielone kobierce, które pstrzyły tuowdzie bukiety kwiatów, jakie zdobią nasze wysokie alpejskie łąki, przerzynały srebrzyste wstęgi mrukliwych potoków, ożywiały roje motyli, igrających w słońcu, i stadka pasących się spokojnie reniów i wołów piżmowych... Opłynąwszy przylądek Broer Ruys, rzuciliśmy kotwicę u wielkiej ławicy lodowej i postanowiliśmy zrobić ośmiodniową wycieczkę na łodzi dla bliższego rozpoznania zatoki Mackensie, oznaczonej na mapie Claveringa. Po ośmiogodzinnej żegludze wylądowaliśmy w głębi zatoki, gdzie znaleźliśmy także szczątki opuszczonej osady Eskimosów. Na południowym zachodzie widzieliśmy przylądek Franklina, a około niego pływało po morzu mnóstwo wyniosłych brył lodu,

*) *Voyage des navires la Germania et la Hansa au pôle nord. Le tour du Monde* r. 1874. *Die zweite deutsche Nordpolfahrt in den Jahren* 1869 u. 1870. Lipsk 1873.

które wskazywały, że poza tym przylądkiem musi się znajdować ujście jakiegoś wielkiego fjordu. Nazajutrz ruszyliśmy dalej, torując sobie wiosłami drogę pomiędzy zbijającemi się coraz gęściej bryłami lodu, co potwierdzało nasz wczorajszy domysł, gdyż w okolicy nie widać było nigdzie lodowców, z których te bryły lodowe mogłyby pochodzić. Jakoż ujrzeliśmy wkrótce poza przylądkiem olbrzymią ławicę skupionego w zator lodu, która rozpościerała się od jednego do drugiego brzegu nieznanego fjordu, zamykając zupełnie jego ujście. Gdyśmy się wdrapali na przyległe wzgórze wybrzezne, roztoczył się przed naszemi oczyma widok niezrównanej wspaniałości, jaki zaledwie najbujniejsza wyobraźnia artysty wymarzyć potrafi. Zajrzeliśmy nagle w samo serce grenlandzkiego świata. U stóp naszych rozlewał się w nieprzejrzaną dal olbrzymi fjord, rozdzielający się na kilka gałęzi, okryty niezliczonem mnóstwem różnokształtnych iglic i brył lodowych, od 30 do 60 metrów wysokich, a zamknięty urwistemi ścianami skalistych gór, których poszarpane szczyty i grzbiety, zawalone lodowcami przepaściste wąwozy, przewyższały dziką malowniczością najdziksze okolice alpejskie. Zrozpaczeni, że fatalna ławica, której nawet najsilniejszy parostatek pancerny nie zdołałby przebić, zamyka nam drogę na te wody, nigdy pewnie żadnem wiosłem nietknięte, położyliśmy się na spoczynek po herkulicznej prawdziwie pracy tego dnia. Zaledwie sen zaczął kleić znużone powieki, gdy nas rozbudził radośny okrzyk kolegi Copelanda:

— Wstawajcie! — Ławica przerwała się, roztrącone bryły usuwają się ku zachodowi! Wracajmy co tchu na Germanię i dalej w drogę do tej ziemi obiecanej.

Zerwaliśmy się w okamgnieniu na równe nogi. Za kilka minut szybowała już łódź nasza jak najprędzej z powrotem, a nazajutrz spieszyła już Germania do nowo odkrytego fjordu. Przerwą w ławicy przemknęliśmy się zręcznie na ciche, lazurowe wody fjordu. Po krótkiej żegludze wzdłuż zachodniej ściany przybyliśmy do rozwidlenia tej potężnej odnogi morskiej. Szersze jej ramię, zwrócone ku północy, kończył rozległy lodowiec, węższe, rozdzielone znowu na kilka gałęzi, wyginało się cieśniną zamkniętą wysokiemi skałami ku południowi. Zwróciliśmy się ku temu drugiemu, gdyż nam się zdawało, że zagłębia się dalej w ląd, niż pierwsze. Zaledwie przebyliśmy ową cieśninę, otworzyło się przed nami najwspanialsze panorama. Po obu stronach piętrzyły się skały, 1500 do 2500 metrów wysokie. Wszystkiemi wąwozami i parowami zsuwały się ku morzu wielkie lodowce, których połyskującemi szczelinami spływały w tysiącznych kaskadach spienione potoki stopionej wody śniegowej. Pośrodku spokojnej i gładkiej jak zwierciadło toni wystrzelał z wąskiej podstawy nagi kamienny olbrzym, złożony z różnobarwnych warstw a poroztrzaskiwany u szczytu głębokiemi rozpadlinami, które robiły go podobnym do ruin jakiegoś zamku o niebotycznych wieżach i basztach. Nadaliśmy też tej dziwnej skale nazwę „Czartowskiego zamku.“ Zdumieni wspaniałością tego świata, którego jeszcze nigdy żadne oko ludzkie nie oglądało, nie schodziliśmy z pokładu, gdyż nie mogliśmy się nasycić temi widokami, które co chwila się zmieniały i w coraz większe wprawiały nas zachwycenie. Powietrze odznaczające się nadzwyczajną przeźroczystością, było spokojne i łagodne; termometr wskazywał 12° powyżej zera; całą przyrodę zalegała uroczyta cisza, którą przerywał tylko huk kół naszej maszyny i zalatujący od wybrzeży szum wodospadów, otulonych brylantowemi obłokami mgły. Płynęliśmy i płynęli środkiem tej krainy cudów, a fjordowi nie było końca. Coraz nowe na boki wywijały się ramiona, coraz nowe otwierały się kanały, coraz nowe rozsnuwały się dziwa, jakoby na czarodziejskie zaklęcie fantastyczne obrazy skandynawskich legend stawały się rzeczywistością. Chcieliśmy zarzucić kotwicę, ale nie mogliśmy nigdzie dosięgnąć gruntu. Nakoniec 11. sierpnia chwyciła kotwica ziemię u ujścia potoku, który uchodził od południowego brzegu, wypływając z lodowca do 300 metrów wysokiego. Byliśmy około 60 mil morskich w głębi Grenlandyi, to jest tak daleko, jak się jeszcze nikt dotąd w środek tego lądu przedrzeć nie zdołał. O dalszej podróży fjordem, którego końca jeszcze zawsze nie było widać, nie mogliśmy niestety myśleć. Nasza maszyna, której rury już od niejakiego czasu zaczęły były przepuszczać wodę, odmówiła nam bowiem stanowczo usługi i kazała spieszyć z powrotem“.

Aby rozpoznać dokładniej miejscowość, wysiedli na ląd dr. Copetand i nadporucznik austryacki, Juliusz Payer, znany ze swoich podróży naukowych po wysokich Alpach, i wdarli się po lodowcach i polach śniegowych na jedną z pobliskich gór. Ze szczytu 700°' wysokiego, przekonali się oni, że fjord ten ciągnie się jeszcze około 10 mil w kierunku południowo wschodnim i że tam rozramienia się znowu, gubiąc się w niedoścignionem okiem oddaleniu. U tego rozramienienia spuszczał się aż do poziomu wody lodowiec na milę szeroki, który pochodził z wielkiego pasma śnieżnych gór, zamykających w tej stronie widnokrąg. Najwyższy szczyt tych gór, którego wysokość Payer w przybliżeniu na 1400° obliczał, nazwano na cześć twórcy obu niemieckich wypraw arktycznych iglicą Patermanna.

Odkrycie tego olbrzymiego fjordu, któremu nadano imię cesarza Franciszka Józefa, jest najważniejszą zdobyczą geograficzną drugiej niemieckiej wyprawy arktycznej. Zasługuje ono na tem większą uwagę, że fjord ten, jak Payer twierdzi, może ciągnie się nawskróś przez całą Grenlandyę aż do zachodnich jej wybrzeży i rozdziela ją na kilka części. Payer opiera swoje twierdzenie głównie na tem, że w głębi tej połaci Grenlandyi nie spostrzeżono nigdzie rozległych dolin podłużnych i że wody fjordu w części jego wewnętrznej zawierały równą ilość soli, jak i u ujścia jego, co jednak nie udowadnia jeszcze dostatecznie przypuszczenia, że on jest kanałem, łączącym morza oblewające naprzeciwległe wybrzeża Grenlandyi*).

Przebywszy większą część drogi z powrotem za pomocą żagli, zawinęła Germania d. 11. września 1870 r. do Bremerhaven, w 453 dni po wypłynieniu z tego portu. Dziesięć dni przedtem przybyli na duńskim statku do Kopenhagi rozbitki Hansy, przywożąc pierwszą wiadomość o kolejach, jakie przechodzili od chwili rozłączenia się z Germanią.

Opowiemy je w skróceniu słowami naocznego świadka, Dr. L a u b e, geologa tej nieszczęśliwej ekspedycyi**). (C. d. n.)

---

*) Behm. *Geograph. Jahrbuch.* IV. 1872 str. 380.
**) Dr. G. C. Laube. *Reise der Hansa in's nördliche Eismeer* Praga 1871.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*„Ismailia“ by sir Samuel Baker. — London, 1874.*)

Dzieło to oczekiwane było przez angielską publiczność z wielką niecierpliwością, nie tyle z powodu opisania ciekawych miejscowości zwiedzanych przez p. Baker, ile dla objaśnień jakie podaje o stanie handlu niewolnikami w Afryce.

I s m a i l i a, takie nosi imię stacja założona przez p. Baker na Białym Nilu przy Gondokoro.

Całe opowiadanie autora, wystawia w najlepszem świetle brytańską wytrwałość i poświęcenie dla dobra ludzkości. Gdyby podobne dzieło napisane było przed 25cioma wiekami w Grecji, przechodziłoby od pokolenia do pokolenia jak pisma Herodota i Bakerbasza zająłby miejsce równe Ksenofontowi lub Nearchus'owi. Dziś, ważność tego dzieła, jeszcze nie może być należycie ocenioną i wtedy dopiero w całym blasku wystąpi, gdy Afryka ostatecznie zostanie wciągniętą w koło cywilizacji i wyda pierwsze owoce z prac w tym kierunku. Niektórzy obwiniają angielskiego baszę (Bakera) o nadużycia, a nawet o gwałtowność, lecz czynią to tylko ci, którzy sympatyzują, lub mają korzyść z handlu niewolnikami, nad którego wykorzenieniem pracował p. Baker z polecenia rządu angielskiego.

Treść całego dzieła dowodzi, o szczerej nienawiści pana Baker do tego handlu, oraz o sprężystości w użyciu środków do jego zniszczenia. Z drugiej strony — środki przyjęte przez pana Baker są tak racjonalne, że pułkownikowi Gordon, który stara się obecnie ustalić władzę Kedyfa w tych dalekich krajach, nie pozostaje nic lepszego, jak tylko postępować drogą wytkniętą, przez pana Baker.

Nadzwyczajna siła woli i determinacja w dopięciu celu, nadają opowiadaniu stanowiącemu treść tego dzieła charakter czysto epiczno-heroiczny, jak poezje Homera. Przeszkody napotykane przez niego były olbrzymie i istotnie trzeba się dziwić, jakim sposobem ten człowiek mógł zrobić tyle, ile rzeczywiście dokonał. Wierząc nawet w szczerość chęci wice-króla egipskiego, aby wykorzenić ten obrzydły handel, jak również w pragnienie opanowania krajów równikowych Afryki, widocznem jest, że nigdyby nie mógł tego dopiąć, bez pomocy angielskiego podróżnika. Pan Baker musiał walczyć z chciwością gubernatorów Sudanu, z chciwością arabską, z ciemnotą plemion czarnych i przeszkodami naturalnemi. Dodano mu do ekspedycji ludzi, których należało jeszcze w karność wprowadzić. Miał on pieniądze i materjał, lecz wytwarzać musiał środki transportu, a najwyżsi urzędnicy rządu, dla którego on pracował, starali się zniweczyć wszelkiemi siłami jego plany. Kto zna Wschód, tego zupełnie to nie zadziwi. Od czasu jak autor w towarzystwie swoich w i e r n y c h c z t e r d a i e s t u z ł o d z i e i i ze swoją malutką armją, zaczyna zagłębiać się w kraje leżące na południe od Egiptu, opowiadanie jego staje się wzruszającym romansem. Znajdujemy tu obszerne opowiadania o usiłowaniach przerznięcia sztucznego kanału przez *sudd*, czyli naturalne zapory z roślin, tamujące przepływ wody; nakoniec flotylka przerzyna się i dostaje do Białego Nilu, przy okrzyku jego gromadki: *Halm ul Allah!* przypominającego nam okrzyk: *Thallassa! thallassa!...* dziesięciu tysięcy greków, przy Trebizondzie. W dalszym ciągu następuje opisanie walki z Barysami, wojowniczem plemieniem, które w starożytności zatrzymało pochód Amasisa, lecz nie zdołało zatrzymać pana Baker.

Przy pomocy owych 40tu z ł o d z i e i, sztucerów Sznajdera i rakiet, w krótkim czasie oczyścił tę krainę, gotując się do niebezpiecznego pochodu do jezior. Nie zważając na krnąbrność swojej gromady, i intrygi dochodzi on do Labore, Fatiko, Unyoro i Masindi, gdzie znosi niewolnictwo i zawiązuje stosunki handlowe.

Potężny handlarz niewolnikami Abou-Savod z władzcą Misindi — próbują struć całą gromadę p. Baker; na ukaranie tej zbrodni zniszczoną została stolica tego króla.

W dalszym ciągu następuje opisanie powrotu. Szesnaście dni malutka ta armja musiała maszerować jeden za drugim, pojedyńczo (gęsiego) przerzynając się przez najgęstsze trawy w okolicy zasianej nieprzyjaciołmi. Trudności zdają się być nie mniejsze, od napotykanych w czasie wojny z Aszantami; każdy

*

krok trzeba było zdobywać z bronią w ręku, staczając krwawe walki, a pomimo to p. Baker przyprowadził napowrót swoją gromadkę, tylko ze stratą dziesięciu ludzi zabitych, a jednastu ranionych.

Chociaż w ciągu całego opowiadania autor skromnie się wyraża o swoich wojskowych talentach, nie mniej przeto każdy fachowy żołnierz zgodzi się, że trudno było lepiej i rozsądniej działać w tylu rozpaczliwych okolicznościach.

Nie zważając, że w główniejszych miejscach pozostawiano posterunki i nominowano jednego z krajowców imieniem Rionga z władzą wice-króla, półkownik Gordon dużo będzie miał jeszcze do zwalczenia, zanim urządzi bezpieczną komunikację jezior z morzem śródziemnem i stanowczo zatamuje handel niewolnikami.

Pani Baker wszędzie towarzyszyła swemu mężowi, który chętnie dzieli się z nią laurami, tak słusznie i jej się należącemi: stanowi to najlepszy dowód *quid femina possit.*

Z jeograficznego względu opowiadanie pana Baker przedstawia wielki interes, wyjaśniając kwestję naturalnego połączenia między Nyanzas i Tanganyku, które to zadanie wkrótce będzie stanowczo roztrzygnięte przez pułkownika Gordon i pana Stanley. Przez takie to czyny nazwisko pana Baker, wraz z innemi imionami, będzie uwiecznione wspomnieniem odkrycia krajów około źródeł Nilu, dróg pokoju, handlu i cywilizacji.

Londyn d. 15. listopada 1874.

Sewer.

TEATR.

(„Mindowe," tragedja Juljusza Słowackiego. — przedstawiona po raz pierwszy na scenie lwowskiej d. 20 b. m.)

Pierwsze utwory pisarzy genjalnych miewają podobieństwo do młodych lwiąt. — Niezgrabne to, nieporzeczne na pozór, ale kiedyś będzie z tego lew, pustyni król! Przeciwnie w pierwszych utworach t. z. „talentów," przebija się odrazu pewna łatwość, zręczność, pewien przemyślny spryt, podobny do tego jaki posiada młody kotek zanim wyrośnie na starego — kocura.... Porównanie to (być może nienowe!) nasunęło mi się mimowolnie na widok „Mindowy," przedstawionego dwukrotnie w ubiegłym tygodniu na tutejszej scenie. W tych ruchach niegłaźnych, w tych niezgrabnych podskokach młodego lwiątka, każdy odrazu pozna przyszłego lwa, protoplastę lwiego rodu, który wydał później „Mazepę," „Lillę Wenedę," „Balladynę...." Przeciwstawmy mu najsprytniejszego z kotków francuskich. Podstarzawszy się, zostaje tylko starym, grzesznym kocurem, po którego zgryźliwem, mizantropicznem mruczeniu któż się domyśli dawnego zwinnego, pełnego gracji, fluterji i dowcipu — Wiktora Sardou?... Historja literatury powinnaby rozpadać się na dwa główne oddziały: u wchodu jednego z nich niechby stał napis: „lwy" u drzwi drugiego: „koty." trzecia osobna klatka mieściłaby inne drobniejsze okazy tej literackiej menażerji.... Nie wiem w jakiej kategorji należałoby wówczas pomieścić krytyków.... To pewna, że wielu z pomiędzy nich należy do gatunku drapieżnych owadów, które najchętniej rzucają się na najszlachetniejsze zwierzęta i zatapiają swe żądełka zawsze w te części ich ciała, gdzie im się najtrudniej — podrapać....

Tego przykrego losu doznaje w wysokim stopniu biedny „Mindowe". Sam (w przedmowie) oddał się na pastwę drapieżnym krytykom, których najpośledniejszy właśnie rodzaj z największem okrucieństwem korzysta z udzielonej sobie sposobności znęcania się nad bezbronnym.... Podobny przykład drapieżności widzieliśmy niedawno w jednem z tutejszych pism i wyznajemy, że nader przykre sprawił na nas wrażenie. Nie chodzi nam o nazwiska, lecz o zasadę, a w tym względzie pragnęlibyśmy, ażeby młodzi krytycy: pietyzmem, miłością i szacunkiem winnym wielkim naszym poetom starali się miarkować nieco swą zapalczywość w krytykowaniu. Przyniosłoby nam to nieróWnie więcej zaszczytu i uwolniło od zarzutu zarozumiałości jaki starzy zasłużeni pisarze czynią dziś młodemu plemieniu literatów, a — uderzmy się w piersi — słusznie czynią!...

Krytyki, jakich doznaje „Mindowe," przywodzą mi zawsze na pamięć słowa Jean Paul'a: że jeźli autor jaki sam sobie choćby najlżejszą przypisze naganę, chwytają ją zaraz w lot i w dwójnasób powiększają krytycy, podobni w tem starożytnym Rzymianom, którzy usiłowane lecz nieudałe samobójstwo karali potem należycie śmiercią.... Krytycy nasi, mało zresztą podobni do Rzymian, w tej mierze przewyższają ich jeszcze okrucieństwem. A jednek przedstawienie „Mindowy" na scenie powinnoby właśnie rozbroić ich zapalczywość, jaką dyszą ku temu młodocianemu utworowi wielkiego poety. Czytając „Mindowę," widzi się jaśniej wszystkie rażące błędy i usterki, które nawet chwilami osłabiają potężne wrażenie jego zalet poetycznych. Na scenie, błędy te, chociaż widoczne, zacierają się jednak w znacznej części przy blasku wielkich przymiotów dramatycznych, jakiemi utwór ten olśniewać musi każdego widza, chętniej dopatrującego w dziele sztuki dodatnich niżeli ujemnych stron. W utworze tym czuć dopiero na scenie ów ożywczy, ciepły pierwiastek dramatyczny, który nadaje mu ruchu, życia, siły a częstokroć prawdy. Nie ma w nim ani krzty manjery, nie ma sztucznego kokietowania efektami, nie ma bladej afektacji — owych znamion bezpłodności i czczej pretensjonalności. Wszędzie siła samorodna, polot niekielzany ale samoistny. Jakkolwiek znać nieraz, że obce wzory zapłodniły młodą wyobraźnię poety, ta jednak odczuła je i odrodziła samodzielnie. Czuć tam np. nieraz Szekspira, ale odtworzonego oryginalnie, po swojemu.... Wyobraźnia poety bujająca samopas, zapędza się niejednokrotnie na bezdroża, stwarza obrazy, sceny, sytuacje nieuzasadnione racjonalnie w toku akcji, będące raczej przypadkowym płodem chwilowego natchnienia, które stworzywszy je rozmiłowało się w nich, niżeli owocem logicznego, racjonalnego obmyślenia. Ale w tych niekielzanych porywach, w tych śmiałych zapędach ognistej fantazji, niezważającej na żadne niebezpieczeństwa ni trudności, znać skrzydło orle.... W tych licznych wadach znać przyszłe zalety. Chociaż zbyt śmiała, porywcza a niedoświadczona jeszcze dłoń młodego mistrza popsuła i skruszyła całokształt utworu, to przecież okruchy jego budzą podziw i domagają się czci należnej. A jeżeli Niemcy objawiają taką cześć dla barbarzyńskiego utworu młodocianej muzy Szyllera, dla „Zbójców", to niewiem dlaczego „Mindowe" wyższy pod każdym(?) względem od „Zbójców," miałby znaleźć mniej łaski przed obliczem młodej krytyki lwowskiej?... Dyrekcji wdzięcznismy za wprowadzenie tego utworu na scenę naszą, a niepospolite jego zalety sceniczne powinne zdobyć mu stale na niej obywatelstwo.

Przedstawienie „Mindowy" odznaczało się oba razy starannością a nawet pewnym pietyzmem. P. Rychter w roli tytułowej zadziwiał młodzieńczą prawdziwie siłą i zapałem. Niejasne, dwuznaczne i rozproszone rysy charakteru Mindowy starał się p. R. połączyć na tle typowym: chytrego, mściwego i dzikiego Litwina. Tym sposobem zyskała ta postać pewien jednolity charakter, którego nie dał jej poeta. Znakomicie wypadły zwłaszcza: scena z matką w akcie 2gim, scena z Hejdenrichem w akcie 3cim, a nadewszystko scena skonania, dla swej rozwlekłości szczególniejsze dla artysty przedstawiająca trudności. Posągową postać Rognedy odtworzyła pani Aszperger w sposób przynoszący nowy zaszczyt jej talentowi, uznanemu już w tym względzie niejednokrotnie. Rolę Aldony odegrała p. Nowakowska, z wyjątkiem pomniejszych ckliwości w akcie 1ym i kilku następnych w scenie obłąkania, z należytym efektem a w scenie z Dowmuntem w akcie 2gim z tragiczną siłą i prawdą. Dowmunt zato był dość szablonowym i niepotrzebnie patetycznym. P. Edgar z trudnej roli Hejdenricha wywiązał się jak mógł najlepiej. Scena z Mindową w akcie 3im, kiedy to rozdziera komżę mnicha i staje przed wrogiem jak dumny komtur, odegrana była z siłą i prawdą. Mniej zadowalająco wypadł zato ów bajroniczno-hamletowski monolog w akcie 4tym. Zawiele w nim było miotania się, a przytem deklamacja p. Edgara wymaga koniecznie reformy. Chcąc nadać jej charakter realistyczny, w krótkich często nieartykułowanych dźwiękach wyrzuca ze siebie p. Edgar pojedyncze słowa. Przez to traci deklamacja wszelką harmonję i staje się chropowatą, nie miłą dla ucha rąbaniną. P. E. powinienby pilnie pracować nad głosem swoim, który przez niewłaściwe, błędne używanie sracił wiele ze swej melodji i giętkości. Prawda w deklamacji może i powinna iść zawsze w parze z harmonją. P. Fiszerowi radziłbym szczerze poprzestać na fachu komicznym, w którym niepośledne czeka go miejsce, a nie kusić się o kreacje poważnie dramatyczne. Piękna typowa postać starego Lutuwera nie znalazła niestety w p. Wilczyńskim odpowiedniego wykonawcy. P. Stromfeldowi, który jak się zdaje posiada talent, brak jeszcze wszelkiego obejścia się scenicznego, co innego to jest deklamować a całkiem co innego grać.

Na ostatek warto wspomnieć, że „Mindowe" raz tylko, przed 8 podobno laty, grany był na scenie tutejszej i to przez amatorów, obecnie zaś po raz pierwszy dopiero przez artystów.

Michał hr. Dzieduszycki.

Ze świata muzycznego.

Z zapowiedzianych produkcji muzykalnych i spodziewanego przybycia artystycznych gości zdaje się, że miesiąc przyszły będzie szeregiem samych koncertów.

W dniu 2. grudnia odbędzie się koncert znakomitego skrzypka Wilchelmiego — d. 6. IIIci koncert Gal. Tow. Muzycznego pod kierownictwem dyr. Mikulego, na którym obok klasycznych utworów wykonanym być ma „Requiem für Mignon" jedno z najpiękniejszych dzieł Rob. Schumana — w d. 13. i 15. koncerta florentyńskiego kwartetu smyczkowego Beckera. Prócz tego koncerty na pogorzelców Gorlickich, oraz teatr amatorski na rzecz czytelni akademickiej.

Produkcyj i produkujących się będziemy więc mieli dosyć, byle tylko publiczności nie zabrakło, a o to podobno u nas nie trudno; żyjemy jakoś w takich okolicznościach, że ciekawy program i imię artysty nie nawsze bywają dostateczną rękojmią powodzenia.

Koncerty np. pp. Bürgera (wiolonczellisty) i Rosenthala (pianisty) wiele przyniosły zasłużonych aplauzów występującym, lecz niestety daleko mniej dochodu.

P. Bürger uczeń znanego nam Poppera, jest artystą pojmującym głęboko swoje powołanie; już na samym wstępie jego spokój i pewność siebie obok zdobiącej każdego artystę skromności, przekonały nas, że panu B. więcej zależy na wyrobieniu w sobie powagi godnego reprezentanta sztuki, niżeli na zdobyciu sławy i czczych oklasków. Jeżeli wiolonczella, podobieństwem tonu, jest instrumentem najwięcej zbliżonym do głosu ludzkiego, to nie tyle należałoby szukać właściwego zadania w technicznych trudnościach sztuk brawurowych, ile raczej w szerokim i poważnym śpiewie. Jakkolwiek czystość intonacji, biegłość palców i umiejętność prowadzenia smyczka p. B. wysoko w swych studjach doprowadził, to przecież najpiękniejszą stroną jego gry, jest pełny i równy ton — dla tego z odegranych przez niego utworów, w koncercie Goltermana, arji I. S. Bacha, elegji (ułożonej z romansu tenorowego) z op. Dom Sebastjan i „Nina" Pergolesego, najwięcej nam się podobały.

P. Rosenthal, uczeń Rubinsteina, posiada wiele młodzieńczego zapału i werwy, które czasami zanadto go nawet unoszą. Obok niezmordowanej siły, pewności uderzenia i nadzwyczajnej biegłości przyznać należy, p. R. niepospolite zdolności. Jego „Pieśń bez słów" przekonywa, że i na drodze kompozycji piękna przyszłość go czeka, która go nie minie gdy dzisiejszy ogień i upodobanie w zbytniej może elegancji zastąpią — spokój i powaga.

O wystawionej na tutejszej scenie operze „Wanda," p. Dopplera, nie wiele można powiedzieć. Libretto jak wszystkie po większej części, nie grzeszy ani bogactwem myśli ani też zbytkiem sytuacyj scenicznych. P. D. flecista opery wiedeńskiej, piszący dziś wiele muzyki do baletów, w „Wandzie" okazał głównie kapelmistrzowską znajomość instrumentacji. Jeżeli ani nowością pomysłów, ani też żadną oryginalnością muzyczną „Wanda" nas nie uderza, to jednakże przyznać należy, że w każdym razie jest to muzyka, która ze względu lekkiej i gładkiej instrumentacji, słowem umiejętnego obrobienia, z przyjemnością słuchać się daje — może nawet więcej u nas tylko, a to z powodu że polskie motywa, w rozmaitych rytmach i mazurków i krakowiaków, dość często w niej się odzywają. Ozdobą opery tak co do kompozycji jako też i wykonania, była modlitwa ba-

szkirów pisana na głos tenorowy z chórem bez akompaniamentu. Halevy w Żydówce (akt II.) podobną formą kompozycji uwydatnił charakter wspólnej modliwy synów Izraela; p. Doppler w „Wandzie“ nie tylko wewnętrzną wartością utworu ale i efektem, dorównał mu modlitwą wyznawców Mahometa. Chór ten przeprowadzony w stylu poważnym, a któremu kompozytor nadał cechę czysto orjentalną, napisany jest pod wpływem prawdziwego natchnienia — i tutaj słówko sprawiedliwej pochwały należy się p. Mikulskiemu za umiejętne cieniowanie i utrzymanie całości w intonacji, oraz dyrektorowi chórów, który w doprowadzeniu głosów do zaledwie dosłyszanego pianissima, dokazał rzeczy nadspodziewanych w lwowskiej operze. Duet Sop. i Ten. należy do piękniejszych ustępów i szczęśliwszych kreacji — dwie tylko rzeczy mielibyśmy w nim do zarzucenia: upodobawszy sobie jedną z pierwszych fraz tenora, autor zanadto często ją powtarza, przez co jej znaczenie i piękność upadają — nareszcie w chwili gdy Timur w medaljonie wydartym z rąk Wandy poznaje swą matkę, nie skorzystał kompozytor z sytuacji scenicznej, jaką mu poddawało libretto. Między kochankiem a bratem jest ponoś wielka, różnica na którą p. D. widać nie uważał, gdyż w dalszem przeprowadzeniu duetu zmiany tej uwydatnionej muzyką nie widzimy.

Walery Wysocki.

Listy z Warszawy.

III.

(Dokończenie.)

Warszawa 15. listopad. 1874.

Z całą ową historją naszych finansistów łączy się jak najściślej kwestja „trzeciego mostu“ na Wiśle. W pierwszych miesiącach bieżącego roku, pisma codzienne poczuły potrzebę jeszcze jednego środka komunikacyjnego obok jednego oddawna już istniącego przy tak zwanym „Zjeździe“ i drugiego, będącego już niemal na ukończeniu przy cytadeli. Trzeci ten most wedle planu fabryki Lilpopa i Rau, poza którą widać było dostojne Kronenberga oblicze, miał pokryć naszą kapryśną Wisłę poczynając od końca Alei Jerozolimskiej, idąc przez Saską Kępę i schodząc wreszcie na grunt praski. Jedne gazety wynosiły projekt ten pod niebiosa, drugie zaś widziały w nim zamach na kieszeń miasta, które mnóstwo innych niezbędnych do zbawienia rzeczy jak np. kanalizacji, wyrzekać się dotąd musiało z powodu niezbyt świetnego stanu aktywów. Pogadano, posprzeczano się gorąco nawet... a wkrótce zapomniano o tym projekcie, jakby go nigdy nie było.

Teraz postać rzeczy zmieniła się. Aż gdzieś z za morza od „Angielczyków i innych Niemców“ przyjechał niejaki hr. Michałowski z inżynierem Goolden i zaofiarował się postawić trzeci most na własne ryzyko, zastrzegając tylko sobie pobieranie przez pewną liczbę lat skromnej opłaty od przechodzących i przejeżdżających....

Gazety, które dawniej krzywiły nosem na projekt budowy trzeciego mostu, teraz aż podskoczyły z radości. „Co to, panie, most darmo mieć będziemy! Niech sobie tam cudzoziemcy łamią głowy nad projektami... dla nas gratka, że aż miło!...“ Uciecha jednak trwała niedługo.... Zwrócono uwagę na tę nader prostą okoliczność, że, jeżeli Angielczykowie aż z za morza przyjechali, ażeby budować most, to musi w tem być dobry interes. Dlaczegóżby więc tego interesu „krajowcy“ zrobić nie mogli? Dlaczegóżby zyski, które bezwątpienia w budowie mostu tkwić muszą, miały zbyt daleką odbywać pielgrzymkę?...

Rozumowano loicznie i przekonywająco. To też te same pisma, które poprzednio były przeciwne obciążaniu miasta nowemi długami dla budowy jakiegoś tam mostu, dziś na gwałt krzyczą przeciw cudzoziemskim pijawkom, które z biednej Polski ostatnią zgrzebną koszulę zdzierać przychodzą.... Lamentują więc a nie pomyślą ani na chwilę, że w tej całej zamorskiej kabale może się ukrywać zręczna intryga, wiodąca krętemi drogami do urzeczywistnienia projektu fabryki Lilpopa, Rau et Compagnie.

Drugim faktem, zaprzątającym umysły Warszawiaków a zwłaszcza Warszawianek jest rozpowszechnienie się u nas śmiałych a systematycznie prowadzonych kradzieży i interesujących morderstw. Nasrożyły się miny moralistów, zaskrzypiały pióra gromiące zagnieżdżoną i rozpanoszoną niemoralność, posypały się kazania w rodzaju tych, jakie palnął p. S. Koźmian w „Przeglądzie miesięcznym,“ hałasujący wyuzdanem i bezkarnem słowem na „bezkarność“ naszego „destrukcyjnego“ stulecia... a tymczasem swoją drogą kradzieże stają się coraz bardziej zatrważającemi a Warszawianki coraz bardziej trwożliwemi. Bo jak tu nie zadrżeć wobec tak okropnego wypadku, jaki miał miejsce na podeszłej już w leciech ale nie uznającej tego niewieście, śp. Sarneckiej, która niemal posiekaną została, której plenipotent umarł w więzieniu, której siostrzeńca zabito w kilka dni po niej?.. Mogą wprawdzie powstać włosy na głowie; ale to bynajmniej się nie przyczyni do rozświetlenia historji, która musi być strasznie zawikłana a ogromnie interesująca. To też napewno twierdzić mogę, że w chwili gdy słowa te piszę, w każdym domu warszawskim przynajmniej trzy godziny czasu „towarzystwo“ poświęci na mniej więcej udatne hipotezy i odczytanie ostatnich o tym ewenemencie relacyj we wszystkich pismach codziennych; „Gazeta zaś Policyjna“ nabierze na tę parę godzin atrybucyj kurji rzymskiej.... Panny i tak już trwożliwe, będą miały obecnie sposobność usprawiedliwienia swej naturalnej skłonności do towarzystwa młodych ludzi, którzy je do domu odprowadzać przywykli. A i dla kawalerów nastaje świetna epoka okazania swych rycerskich usposobień, które biorą w nieustraszoną opiekę młodość i niewinność....

Ja, co się ani do jednej ani do drugiej kategorji nie mam prawa zaliczać, skonstatować tylko muszę pewną perjodyczność w ponawianiu się moralnych wstrząśnień wśród naszego społeczeństwa. Jak przed trzema miesiącami łuna pożarów nie dawała spać spokojnie tym, którzy mieli coś do stracenia, tak teraz rzeź niewiniątek i pokuszenie na cudzą własność mimowolnie przypominają słowa ewanielji: „Nie wiecie dnia ani godziny a więc czuwajcie!...“ Czy w tej perjodyczności klęsk nie można dojrzeć jakiego związku z „destrukcyjną“ działalnością pism perjodycznych; — o tem mógłby bezwątpienia szeroko i długo pouczyć wyż wspomniany p. Koźmian: ale że on daleko, więc go o radę duchowną poprosić mi trudno, sam zaś nie mogąc znaleźć innego środka nad głębsze badanie, zostawiam rzecz tę statystyce i wracam do notowania faktów.

Naprzód fakt smutny, łączący się grobowem powinowactwem z owemi ofiarami, które zajmują uwagę Warszawian. Kiedym był na przedstawieniu „Świętoszka,“ ani mi przyszło na myśl, że owa dowcipna zręczna a zgrabna subretka, co jedną z piękniejszych ról w nim odgrywa, poraz ostatni zajmie mnie swoją gracją, pięknym głosem i inteligentnemi gestami, ani mi na myśl nie przyszło, że ta subretka w sile wieku i w pełni rozwijającego się talentu zgaśnie na wieki. Tak się stało. Wiktorja z Szymanowskich Bakałowiczowa, pożegnała się ze światem, jak bezwątpienia już wiecie. Pracowała ona na scenie od r. 1852 w rolach naiwnych i salonowych. Przez lat dziesięć byłem świadkiem i najczęściej wielbicielem jej gry, pełnej prawdziwego poczucia artyzmu, pełnej swobody i wdzięku. Ciężka to, bardzo ciężka strata dla sceny warszawskiej. Pozostała już tylko do ról naiwnych jedna panna Romana Popiel, której głos nie może iść w porównanie pod względem modulacji z głosem Bakałowiczowej. Głos tej ostatniej miał w razie potrzeby energję i siłę, o które dotąd p. Popiel napróżno się stara.

Wielbicieli miała Bakałowiczowa liczbę niepoliczoną; orszak też pogrzebowy, który jej oddawał ostatnią posługę, przewyższał liczbą wszystkie, jakie od lat kilku w Warszawie widziano. Publiczność nasza entuzjazmuje się łatwo i „przy pogodzie“ umie uczcić zasługę i talent... a nawet przyjmuje sympatycznie takie „szpitalne poezje,“ jak ostatni wiersz Mirona skwapliwie w „Kłosach“ pomieszczony, gdyż w nim wyrażona była cześć dla zgasłej artystki, gdyż zjawił się poprostu... na czasie.

Co prawda, to i za życia nawet artyści „dramatyczni“ doznają u nas wyjątkowej ze strony publiczności opieki. Nie wspominając o owych śmiesznych buletynach, opiewających każdodziennie stan zdrowia i rodzaj dyjety takiej np. Modrzejowskiej, gdyż to jest objawem plotkarskiego usposobienia historyków kurjerkowych, trudno nie zadziwić się tym ogólnym chórym pochwał, którym przyjęła cała bez wyjątku niemal prasa warszawska rękopiśmienny utwór p. Rapackiego p. n. Wit Stwosz. Na parę tygodni przed ukazaniem się w druku (przy Tygodniku Ilustrowanym) pierwszych scen tego dramatu, rozległy się we wszystkich przybytkach redakcyjnych ody tak pindarycznie nastrojone: żem był już pewny narodzin polskiego Szekspira. Wypytywałem też skwapliwie o drogę do Straffordu; ale zbywano mię ogólnikami: „Zobaczysz sam, przeczytasz! Znakomitość, powiadam ci!!...“ Ha, Bóg raczy wiedzieć, może to będzie i arcydzieło; ale pocóż trąbić o niem przedwcześnie? Bądź co bądź, w arcydziele tem będą skazy, to już można twierdzić napewno po przeczytaniu trzech półarkuszów, w których wierszy nierymowych wydrukowano dużo, lecz w tych wierszach dużo też powtarzania, dużo niepoprawnych wyrażeń, dużo prozaiczności i dużo takich skróceń jak „wychodzili-m“ zam. „wychodziliśmy“ na które gramatycy w niebogłosy wołać będą!...

P. Rapacki jest aktorem zdolnym, celującym nawet w rolach charakterystycznych a chociaż „kurjer Świąteczny“ raz powiedział o nim, że ma głos proboszcza na kazalnicy, to przecież... Warszawa do wszystkiego przyzwyczaić się może, kiedy się przyzwyczaiła do tego oświetlenia gazowego, które na to chyba u nas istnieje, ażeby nic na ulicy nie widzieć. U nas tak. Krzyknie ktoś raz, drugi, a potem ucieka.. nie na Pragę — bo tam jeszcze gorzej — ale do bractwa wzajemnej adoracji. Taka metoda postępowania daje ludziom korzyść podwójną: raz pokazuje, że są pełni odwagi cywilnej a drugi raz, że pragną zgody bratniej i spokoju... dla nauki i oświaty.

Takim samym trybem powstają u nas i oceny działalności artystów — malarzy....

Lecz nie! Moi koledzy i bracia po piórze gotowiby mię posądzić o brak zmysłu artystycznego a co gorsza o żółciowe usposobienie, które bynajmniej do podtrzymania dobrego humoru nie pomaga. O malarzach pomówię kiedyindziej, bo to jest kategorja artystów, którzy, jak sami powiadają, doznawali w kraju naszym macoszego traktowania; a niegodzi się przecież o „genjuszach zapoznanych“ rozpowiadać bez należytego uznania. Wolę więc skończyć na teatrze — jako instytucji uprzywilowanej. Krótka tu tylko o nim notatka. Zapowiada on dużo, ale robi niewiele. Od czasu ostatniej mojej korespondencji przedstawiano dwie znane wam nowości: Feuilletowskiego „Sfinksa“ i jednoaktówkę p. Koziebrodzkiego: „Miłe złego początki...“ Ale co mają przedstawić!!...

P. Winiawa.

Ze świata naukowego.

O meteorytach, bolidach i gwiazdach spadających

napisał

Dr. W. URBANSKI.

(Ciąg dalszy).

W nowszych czasach meteorytami więcej się zajmować poczęto, a w najnowszych nawet ich drogi w przestrzeni światowej oznaczyć starano się. Mamy też spisane*) całe szeregi meteorytów spadłych od początku ery chrześcijańskiej. Z tych kilkanaście ciekawszych wymienię, mianowicie te, u których znany jest przynajmniej rok spadnięcia i wiadome bliższe jakie szczegóły, dotyczące tego zjawiska. Dla lepszego jednak zrozumienia rzeczy wspomnieć mi naprzód wypada, że zjawisko aerolitów nie zdaje się różnić w istocie od powszechnie znanego zjawiska „gwiazd spadających.“ które tak często są widzialne, że prawie każdej pogodnej i bezksiężycowej nocy mamy sposobność obserwowania ich. Nagłe rozpalanie się tych ciał, świecące smugi, które po sobie na niebie zostawiają i szybkie ich znikanie czynią obydwa zjawiska tak do siebie podobnemi, iż je łatwo za to samo wziąć można. Z większem nie-

*) Bardzo obszernie o nich pisze H. Klein w swojem dziele: Das Sonensystem. Braunschweig 1871.

kiedy rozwinięciem światła pojawiające się nazywają „kulami ognistemi," czyli „bolidami". Te równie jak i „meteoryty" w ogóle przychodzą do nas drogami „hiperbolicznemi" ze wszystkich stron przestrzeni światowej. Najstaranniejsze postrzeżenia przekonały, że gwiazdy spadające, których ścisły związek z kometami zauważano, pokazują się we wszystkich okolicach nieba i biegną po drogach „parabolicznych" z chyżością, jużto planetarną, z jaką ziemia obiega drogę swoją wokoło słońca, jużto z nierównie większą. Zdają się też spadać z wysokości 20—50 mil, a częstokroć i większej. W pewnych porach roku, jak np. między 10tym a 12tym sierpnia i 12tym a 14tym listopada pojawiają się w nadzwyczajnej ilości. Wtenczas zdają się wychodzić z jednego miejsca na niebie i biegną w jednakowym kierunku. Co z tego wnosić można, niżej się okaże. A teraz przystąpmy do wymienienia niektórych meteorytów, spadłych na ziemię w różnych czasach i miejscach.

Według Biota wspominają Chińczycy o kuli ognistej na niebie, która na dniu 14 stycznia 616 r. e. chr. poprzedziła spadnięcie kamieni na ziemię, przyczem wóz zgruchotany został i dziesięcioro ludzi utraciło życie.

Według „Annales Fuldenses" straszny wypadek wydarzył się w r. 823 e. chr. wskutek ogromnego gradu kamieni. Na znacznej przestrzeni wiele ludzi i bydła padło, a 35 wsi spłonęło prawie do szczętu.

Według Spangenberga dnia 1go października 1304 r. spadły z nieba ogniste kamienie na kształt gradu koło Friedeburgu nad Saalą, wznieciły pożar i wiele szkody na polach zrządziły.

Siódmego listopada 1492 r. (we środę) między 11tą a 12tą przed południem spadł koło Ensisheim z grzmotem i łoskotem wielki kamień z powietrza, ważący 260 funtów. Znaleziono go na polu, pszenicą zasianem i przeniesiono do kościoła rzeczonej miejscowości. Pęknięcie meteoru z wielką gwałtownością odbyć się musiało, bo huk w całej okolicy daleko był słyszany i zdawało się, jak gdyby gmachy kamienne waliły się.

Ogromny grad meteorytów spadł koło Kremy dnia 4 września 1511 roku. Piotr Martyr z Anghiery opisał żywo ciekawe to i zarazem straszne zjawisko. Najprzód pojawiła się na niebie wielka czarna chmura, z której biły pioruny wśród mocnych grzmotów. Jasność była tak wielka, iż mieszkańcy miasta Bergamo pomimo równoczesnego całkowitego zaćmienia słońca mogli całą równinę kremską przeglądać. Przed samym spadnięciem kamieni pojawiła się wielka „kula ognista" z długim ogonem. Kardan-(us) wziął ją za kometę. Spadające kamienie zabijały ptactwo, owce i ryby, a w Kremie padł trupem jeden braciszek. Według zapisków Kardana spadło wszystkiego około 1200 kamieni; między temi jeden, ważący 260, a drugi 120 funtów.

Gassendi na dniu 27 listopada 1617 roku widział na własne oczy w Provence bardzo wielką „kulę ognistą," która wśród grzmotu pękła i rzuciła wysoko ogrzany 59 funtowy kamień na śnieg, podówczas grubą warstwą pokrywający ziemię. Kamień ten ciemno metalicznej barwy wbił się w grunt na trzy stopy głęboko i stopił śnieg dokoła siebie.

Im bliżej czasów naszych, tem dokładniej opisane znachodzimy wszystkie meteoryty ogniste, tak pojedyńcze bolidy i gwiazdy spadające, jako też całe „roje tych gwiazd," które tylko w pewnych porach roku jawią się, sprawiając w nocy na pogodnem niebie wspaniałe widowisko. Haidinger wykazał ze starych kronik, że ognista kula, która z głuchem szmerem w r. 1751 dnia 26 maja przeleciała ku wschodowi, była widzianą w znacznej części Niemiec. Wybuch jej nastąpił z gwałtownym hukiem a z powstałego dymu czarnego spadły na dół koło Hradczynu pod Zagrzebiem dwie kamienne masy, z których jedna 71 a druga 16 funtów ważyła. Pierwsza wbiła się w grunt świeżo zorany na trzy sążnie głęboko i znajduje się obecnie w ces. skarbcu we Wiedniu; druga znaleziona w odległości 2000 kroków od tamtej niewiedzieć gdzie się podziała. Powierzchnia bryły przechowanej jest komórkowata, a jądro z litego żelaza pokryte cienką czarną powłoką.

W r. 1768 Akademja paryska wyznaczyła komisję do chemicznego zbadania aerolitu, spadłego 13 września t. r. koło Lucé w departamencie „de la Sarthe". Lavoisier, najsłynniejszy chemik ówczesny zdając sprawę o nim, oświadczył, że to zwykły kamień 7½ funta ważący, w który uderzył piorun. Składa się zaś z 36 części żelaza. 55·5 cz. masy do szkła podobnej i trochę siarki. Był on wszakże istotnie meteorytem, według naocznych świadków spadłym z małej ciemnej chmury wśród krótkiego grzmotu i następnego huku ryczącego. Widziano, jak spadał z chmury na dół, mając kształt ciemnej bryły, którą odszukano pod murawą w tak gorącym jeszcze stanie, iż się jej dotykać nie było można.

We dwa prawie lata później, 24 lipca 1790 r., uważano jeszcze dokładniej spadanie licznych od 18 do 55 funtów ważących kamieni koło Juillac w pobliżu Roquefort i koło Barbotan w departamencie „des Landes". Burmistrz w pierwszej miejscowości spisał urzędowy protokół „z okazji pojawienia się wielkiego ognia na niebie i mocnego huku, po którym w parę minut spadły z nieba kamienie". Baudin, lekarz w Pau, ogłosił o tem zjawisku następujące sprawozdanie: Przechadzając się w sobotę d. 24 lipca wieczorem po dziedzińcu zamku Mormés przy czystem spokojnem niebie i jasnem świetle księżyca w pełni, ujrzeliśmy naraz ognistą kulę w biegu, daleko jaśniejszą i większą od księżyca. Ciągnęła za sobą ogon białawy, tak szeroki jak jej średnica, a 5 do 6 razy dłuższy; koniec jego był jak krew czerwony. Po dwóch sekundach rozpadła się kula na kilka kawałów, które w różnych kierunkach spadały, zostawiwszy w miejscu pęknięcia małą białawą chmurkę. Niektóre kawałki przygasły zaraz w powietrzu, inne zachowały podczas spadania czerwoną barwę, którąśmy przedtem na końcu ogona widzieli. We trzy minuty później usłyszeliśmy straszliwy grzmot, czyli raczej wybuch tak silny, jak gdyby z kilku baterji dział ciężkiego kalibru naraz wystrzelono. Huk zdawał się rozchodzić po nad głowami naszemi i odbijał się w dolinach Pireneów. Meteor ten musiał w wysokości 6 do 7 mil ponad nami przelecieć i zdawało się, że spadł w odległości 4 mil na północ od zamku Mormés; co się w istocie potwierdziło, gdyż rozpękł się koło Juillac a niektóre jego kawałki spadły koło Barbotan, rozdzielając się na kolisty obszar dwumilowy w średnicy. Obserwowano go też w Bayonne, Pau, a nawet w Bordeaux i Tuluzie.

W r. 1794 d. 16 czerwca spostrzeżono w Sienie (w Toskańskim) o godz. 7. wieczorem małą posępną chmurkę blisko zenitu na jasnem zresztą niebie. Z niej naraz wśród ognistych zjawisk dały się słyszeć wystrzały i ukazał się dym, do mgły podobny i raptowne poruszenia, wyprawiający. Wystrzały powtarzały się jakiś czas bardzo prędko po sobie, a podczas tego świstały w około kamienie spadające na wilgotną od deszczu ziemię. Zdaje się, że to były okruchy jednej większej masy. Największy ważył siedm funtów. Wszystkie były jeszcze gorące, miały na sobie rodzaj czarnej skorupy i zawierały w składzie swojem żelazo i piryt (iskrzyk) magnetyczny w małych ilościach. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Rys dziejów literatury polskiej podług notat Aleksandra Zdanowicza, opracował L. S. Tom I. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Wilno. 1874.

Dzieło to powstało z szeregu lekcyj, których śp. Aleksander Zdanowicz udzielał po większej części dla panien, tudzież z notatek biograficznych i bibliograficznych, które po sobie zostawił. Wydawca wszystko uporządkował, w niektórych miejscach uzupełnił i jako całość zaokrągloną oddał ten pierwszy tom czytającej publiczności. Tom ten zawiera: literaturę ludową i czasy przedchrześcijańskie i podzielony jest na 3 okresy, mianowicie: Okres pierwszy od wprowadzenia chrześcijaństwa do wieku Zygmuntów. Okres drugi, od początku XVI. do połowy XVII. wieku. Okres trzeci od połowy XVII. wieku do wstąpienia na tron polski Stanisława Augusta. Sprawozdawcy wiadomo, iż śp. Aleksander Zdanowicz zostawił znaczny bardzo zapas materjałów, odnoszących się do epoki panowania Stanisława Augusta. Z upragnieniem więc oczekujemy ukazania się drugiego tomu.

— Bóg w przyrodzie, przez Kamila Flammarion. Przekład z francuskiego. Warszawa. 1875.

Ostatnie wyniki, do których rozum nasz doszedł w poznaniu przyrody i człowieka, są tu jasno, treściwie a przedewszystkiem całkiem przystępnie wyłożone. Znajdzie tu więc czytelnik wiele bardzo wiadomości o sile i materji, o życiu, o duszy, o przeznaczeniu istot i rzeczy, naostatek traktuje autor o Bogu w przyrodzie, dalej o człowieku tworzącym Boga na podobieństwo swoje; autor wytyka błędy tak zwanego antropomoerfizmu i przychodzi do wniosku, że żaden system ludzki natury Boga określić nie może. Tłumaczenie nader poprawne. Dodać tu winniśmy, że każde znakomitsze dzieło znajdzie zaraz w Warszawie starannego tłumacza i chętnego nakładcę. Tym sposobem, szczególnie w ostatnich latach, przyswojono naszej literaturze prócz wielu innych nader cennych dzieł: Drapera: Dzieje rozwoju umysłowego w Europie, Guthego: Geografję; Tyndalla: Wodę; Baina: umysł i ciało.

— Praca kobiet w XIX. wieku przez Pawła Leroy-Beaulieu. Przełożyła z francuskiego A. S. Warszawa. 1875.

Kwestja pracy kobiet zajmuje dziś powszechnie umysły. Im bardziej rozwija się i podnosi cywilizacja, tem większy szerzy się dobrobyt, tem więcej kobiety przyczyniają się do produkcji. Autor powyższego dzieła przedstawia nam w I. części swej pracy nasamprzód w krótkości zmiany, jakie od początku naszego stulecia dokonywają się na polu mechaniki w rzemiosłach kobiecych; traktuje dalej o wynagrodzeniu pracy kobiet i zastanawia się nad przyczynami nierówności wynagrodzeń pracy mężczyzn a kobiet. W drugiej części mówi autor o wdaniu się prawa dla ograniczenia i wzbronienia pracy kobiet w przemyśle. Trzecia część nareszcie traktuje o środkach poprawienia losu kobiety i odbudowania rodziny w klasie robotniczej. Niemiecka gruntowność obok wytworności stylu, tylko francuskim pisarzom właściwego, cechują tę pracę. Dzieło to zostało uwieńczone przez francuską Akademję nauk moralnych i politycznych.

Francuska.

— La Séparée par Tony Révillon, Dentu, Paris, 1875.

Jest to historja w ogóle młodych kobiet, które mężowie unieszczęśliwiają. Porzucają one mężów, bo żyć z nimi niepodobieństwem, a jeśli która z nich na drodze życia spotka potem mężczyznę którego bardzo kochać

mogła i nawzajem być kochaną, szczęście prawdziwe nie staje się jej udziałem, ponieważ prawo które jej ręce związało, każe kochankom żyć zdaleka od siebie. Autor napisał ten romans głównie w zamiarze przemówienia gorąco za potrzebą ułatwiania rozwodów, aby dwoje ludzi, którzy się nienawidzą, nie potrzebowali na wieki być połączeni. Styl jest świetny, dramatyczność wielka, a chociaż akcja odbywa się w małem miasteczku, mimo to czytającego ani na chwilę nie opuszcza prawdziwe zajęcie.

— Souvenir du 4. Septembre: le gouvernement de la defense nationale, par Jules Simon, II. vol. Paris. Levy. 1874.

Autor tego dzieła ze spokojem i godnością skreślił nam obraz wypadków, jakie nastąpiły po upadku Napoleona III. Wykazuje on główne błędy systemu napoleońskiego, lecz obok tego nie odmawia ostatniemu cesarzowi Francuzów wielkich zalet. Szanowny autor wypowiada przekonanie, że Francję może zbawić tylko republika konserwatywna i dobrze skonsolidowana. Socjalistów i komunistów jest on zaciętym nieprzyjacielem — a głosowanie powszechne uważa za podstawę państw nowoczesnych.

— Portraits historiques et littéraires, par Prosper Merimée, Paris. Levy. 1874.

Są to obrazki rozmaite, w rozmaitych czasopismach drukowane, które po śmierci autora w jedną całość zebrano. Budzą one dość wielki interes, szczególnie „Mowa recepcyjna" — którą miał gdy go przyjmowano do Akademji, na miejsce Karola Nodier.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Od Dr. Samolewicza otrzymaliśmy pismo następujące:

„W numerze 8. „Tygodnia" umieszczono recenzję mej rozprawy pt. „Studja Platońskie". Jakkolwiek sam ton artykułu, zwykle nie używany w poważnych recenzjach, mógłby mię uwolnić od odpowiedzi, to jednak nie chcąc dać powodu do mniemania, jakobym nawałem zarzutów czuł się pokonanym, pozwalam sobie kilka słów tej sprawie poświęcić ze względu na tych czytelników, którzy mej pracy nie znają. Rozprawa moja przed umieszczeniem w Pamiętniku Akademji, przeszła przez ścisłą krytykę dwóch uniwersyteckich profesorów filologji klasycznej, pp. Dra Alfreda Brandowskiego i Dra Zygmunta Węclewskiego. Co do szczegółowych zarzutów, w powyższej recenzji umieszczonych, oświadczam, że chętnie godzę się na myśl w owej recenzji poruszoną, aby wytrawni znawcy klasycyzmu całą kwestję zbadali, wszystkie przezemnie w rozprawie przytoczone, a w recenzji częściowo powtórzone dzieła porównali, w rzekomych kompilacjach i plagiatach się rozpatrzyli i wolni od osobistych uprzedzeń orzekli, czy rzeczywiście lekkomyślnie, ze złą wiarą i zarozumiałością do mej pracy przystąpiłem. W końcu nadmieniam, że zaszczytnemu dla mnie wezwaniu do prowadzenia sporu naukowego z szan. recenzentem, ze względu na tyle łączących nas wspomnień z lat ubiegłych, acz z przykrością, ani obecnie ani na przyszłość nie będę mógł zadośćuczynić".

We Lwowie dnia 22. listopada 1874.

Dr. Zygmunt Samolewicz.

— Wydział lwowskiej Czytelni akademickiej ogłosił sprawozdanie z czynności tej instytucji w r. 1874. Z przyjemnością dowiadujemy się że czytelnia pięknie się rozwija. W ciągu roku, wraz z pozostałością z roku ubiegłego miała ona dochodu 4.609 gul. 84 cnt. a wydatków 2483 guld. $55^1/_2$ cnt. W kasie pozostało zatem na rok przyszły 2126 guld. i $28^1/_2$ cnt. Dzieł zakupiono w tym roku za 430 guld. Cały księgozbiór wynosi teraz 2.112 dzieł w 4766 tomach. Czytelnia urządzała także wieczorki naukowo-literackie. W pierwszem półroczu liczyła 275 członków, a w drugiem 206. Ubytek ten tłumaczy się letnią porą. Z całego serca życzymy pięknej tej instytucji coraz większego rozwoju. Czytelnia powinna być prawdziwem ogniskiem dla całej młodzieży uniwersyteckiej. Wypada nam jeszcze dodać, że wzmiankowane sprawozdanie kończy się rozprawką p. Michała Chylińskiego o stanowisku H. Kołłątaja wobec Targowicy. Autor tej pracy okazał, że obdarzony talentem niezaprzeczonym — może z czasem stanąć wysoko.

— Książę Władysław Czartoryski przesłał do senatu akademickiego uniwersytetu Jagielońskiego względem nagród za najlepsze rozprawy uczniów w zakresie prawa, historji i teologji, pismo, w którem oświadcza, iż wspólnie z Aleksandrem, Marcelim, Jerzym i Romanem Czartoryskimi, chcąc przyczynić się do rozbudzenia w młodzieży uniwersytetu Jagielońskiego zamiłowania do samoistnej pracy i głębokich naukowych badań w kierunku historyczno-prawniczym, postanowili przyjść młodzieży tej w pomoc, przeznaczając na pięć lat najbliższych po 1050 złr. na premja za najlepsze prace naukowe dla uczniów prawa, historji i teologji. Życzeniem ich jest: 1) Ażeby Wydział prawa i administracji ogłaszał przez 5 lat corocznie dwa konkursa, jeden na rozprawy z prawa polskiego, drugi na rozprawy z prawa kanonicznego i rzymskiego w kolejnem tychże przedmiotów następstwie; a Wydział filozoficzny również przez pięć lat corocznie trzeci konkurs na rozprawy z historji polskiej kościelnej i politycznej w sposobie w ustępie drugim podanym; 2) ażeby w każdym z dwóch pierwszych prawniczych konkursów Wydział rozprawie za najlepszą uznanej przyznał nagrodę w kwocie 200 zlr., rozprawie drugiej nagrodę w kwocie 100 zlr., a trzeciej w kwocie 50 zlr. Na wydziale zaś filozoficznym najwyższa nagroda wynosząca 200 zł. przyznaną będzie jednego roku za najlepszą pracę z historji polskiej kościelnej, drugiego zaś roku z historji polskiej politycznej; dwie nagrody następnie po 100 zł. i 50 zł. za prace najbliższe wartością, jednego lub drugiego przedmiotu się tyczące. 3) We wszystkich trzech konkursach dwie pierwsze nagrody tylko za prace bezwzględnie dobre przyznane być mogą. 4) Nagrody nieprzyznane w ciągu pięciu lat służą do rozpisania konkursu na rok szósty i na dalsze lata.

— Od jednego z przyjaciół naszego pisma otrzymujemy następujące ciekawe szczegóły o pracach artystów krakowskich: „Zaczynam od Matejki. „Bitwa Grunwaldzka," o której już tyle wzmianek było po dziennikach zaledwie rozpoczęta. Przyczyny szukać należy w tem, że pierwszy szkic na płótnie, przedstawiający scenę wręczenia mieczów przed bitwą, został przez artystę zmazany, a na jego miejsce narysowana scena rozstrzygająca, bo pojmanie Mistrza krzyżackiego i przyprowadzenie go przed Jagiełłę. Jestto zatem „Zwycięztwo grunwaldzkie," pogrom Niemców. Obraz olbrzymi, co do pomysłu, o wykonaniu dziś nie może być mowy, jest w zanadto początkowem stadjum. Nie prędko możemy się spodziewać jego ukończenia, to pewna. Matejko zajęty kilkoma mniejszemi obrazami; tych prędzej się pobędzie. Zakupna „Unji" i „Batorego" wyczekuje niecierpliwie. Cóż się dzieje z komitetem? Czemu nie rozpoczyna działania?—Walery Eljasz pracuje nad obrazem, który zatytułował: „Męczennicy na Podlasiu w r. 1874." Obraz pomyślany prześlicznie, ale jak będzie wykonany jeszcze sądzić nie można. Artysta ten ma doborowy i liczny zbiór rysunków własnoręcznych, który nagromadził jeżdżąc po kraju i zagranicy. Są to rysunki zbroi, całych pancerzy, koszulek, misiurek, łuków, tarczy, rusznic, siodeł bogatych, ubiorów, koron, bereł, mebli, buzdyganów, słowem wszystkich archeologicznych zabytków polskich pod względem wojennym, religijnym i domowym. Zbiór ten zamierza artysta rozpowszechnić w wydaniu taniem autografowanem, zeszytami p. t. „Dawna Polska w domu, kościele i wojnie," z krótkiemi opisami użytku każdego przedmiotu. Będzie to dzieło arcypomocne artystom, zwłaszcza malarzom, a i archeologowie nie jednę nową rzecz zobaczą.—Juljusz Kossak pracuje nad illustrowaniem „Pana Tadeusza" dla Żupańskiego. Ma jednak dopiero dwie pierwsze księgi illustrowane, i to nie zupełnie, gdyż kilku ostatnim illustracjom brak wykończenia. Z tego co widziałem sądzę: że całego Pana Tadeusza nie jest w stanie odtworzyć odpowiednio, i koniecznie musi ktoś drugi zająć się Zosią, Telimeną i scenami, które się odbywają pod dachem. Kossak jest genjalny w lesie, na stepie, na koniu; jego wojskowi, myśliwi, księża, szlachta — żyją, ale delikatnego cieniowania uczuć w nim nie ma, i pod tym względem „Tadeusz" może być chybiony."

— Paryska Akademja sztuk pięknych mianowała Jana Matejkę swoim członkiem zagranicznym, na miejsce zmarłego Kaulbacha.

— Ksiądz A. S. Krasiński, były biskup Wileński, znajdujący się na wygnaniu w Wiatce, napisał obszerne dzieło p. t. „Synonimologja polska".

— S. Orgelbranda synowie wydają w przekładzie znane dzieło francuskie Raynal'a „Rozbitki na wyspach Auckland" z pięknemi illustracjami.

— Od 1. stycznia 1875 r. wychodzić zacznie w Warszawie czasopismo „Przegląd techniczny" pod redakcją technologa-mechanika Stefana Kossutha.

Podróże, odkrycia i komunikacje.

— We wsi Rogowo w W. Ks. Poznańskim przy kopaniu torfu dokopano się zapadłego boru; dotychczas wydobyto do 151 pni dębowych i inne rodzaje drzewa. Pnie dębowe 80 stóp długie mają w średnicy 3—4 stopy.

— Dnia 22. bm. odbyło się w Krakowie walne zgromadzenie członków Towarzystwa tatrzańskiego. Liczy ono 26 założycieli i 196 członków. Towarzystwo wybudowało już schronisko przy Morskiem oku, poprowadziło kilka dróg do miejsc mniej przystępnych, w Zakopanem urządziło kasyno i zaprowadziło straż zaprzysiężoną, która będzie czuwać nad świstakami i kozicami. Od Sejmu otrzymało ono 500 guldenów subwencji. Prezesem został wybrany Mieczysław hr. Rey.

— Na posiedzeniu angielskiego Towarzystwa geograficznego, odbytem w Londynie d. 10. b. m. przedstawił się jak wiadomo podróżnik austrjacki Juliusz Payer. Przewodniczący Sir Henry Rawlison, w mowie zagajającej przyznał, że zasługi austrjackich podróżników w badaniach świata arktycznego są w rzeczy samej niepospolite; przy końcu wynurzył on nadzieję, że rząd angielski wyekwipuje nową wyprawę, która wyruszy przez zatokę Baffina i Sund Smitha. Payer przyznał temu projektowi całą słuszność, a potem odczytano list Petermanna, w którym znakomity ten geograf niemiecki przemawia także za tą drogą. Wykład Payera przetłumaczony na język angielski odczytał sekretarz towarzystwa Markham.

— Dr. Jan Palisa, dyrektor marynarskiego obserwatorjum w Pola, odkrył zeszłego miesiąca nową planetę 11go stopnia. Z kolei jest to trzecia planeta odkryta przez niego w tym roku. Wszystkich dotąd znanych planet jest zatem 147.

— Podróż z Anglji do Australji trwała dotąd bardzo długo, ponieważ każdy okręt musiał się zatrzymywać w pewnych miejscowościach dla nabrania węgla. Spowodowywane tem kołowanie opóźniało podróż o kilka tygodni. Teraz panowie Watts i Milburn w Newcastle zbudowali ogromny okręt „St. Osyth," który zawiera 2.000 beczek węgla. Rzeczony okręt wyruszył już z Plymouth i bez zatrzymania udaje się do Australji.

— Od roku 1867—1873 Niemcy zbudowały 7105 kilometrów kolei żelaznych, z czego połowa kosztem państwowym, a druga nakładem przedsiębiorstw prywatnych. Koleje rządowe, wszystkie w celach strategicznych, kosztowały po 378000 frank. kilometr, podczas gdy prywatne najwyżej po 309.000 franków.

Statystyka.

— Cały świat posiada 56.289 okrętów, obejmujących 14.523.630 beczek ładunku. Z tego przypada na Anglję 20.528; na Stany Zjednoczone 6.869; na Norwegję 4.464; na Włochy 4.343; na Niemcy 3.483; a na Francję 3.780 okrętów. – Anglja może się tedy śmiało nazwać królową mórz.

Wojskowość.

— Z gruntownego i troskliwie obrobionego przez specjalistów dzieła „Die Wehrkraft Italiens im Jahre 1874," które wyszło obecnie drukiem i nakładem drukarni dworu w Wiedniu, wyjmujemy następujące ciekawe wiadomości: Wedle najnowszego prawa wojskowego siła zbrojna Włoch podzieloną została na trzy wielkie części: stałą armję, milicję i pospolite ruszenie i tym sposobem liczebnie podniesiono ją do cyfry 340.000 ludzi; do czego dodawszy załogi, Rząd włoski w gwałtownej potrzebie rozporządzać może więcej niż $1^1/_2$ miljonem wojska. Budżet wojenny włoski wynosi 182,919.239 lirów to znaczy 15·5 procent ogólnej sumy dochodu państwowego. Szczególniej do takiego podniesienia siły zbrojnej Włoch przyczyniło się zaprowadzenie ogólnej służby wojskowej, która się zaczyna w 20 roku a kończy w 39.

ROZMAITOŚCI.

— Która jest najstarsza dynastja na świecie? Zadziwią się prawdopodobnie czytelnicy, gdy im powiemy, że japońska. Nie ma monarchy, któryby mógł się równać pod tym względem z Mikadem. Obok niego każda dynastja europejska jest parweniuszowska. Udowadnia to starannie utrzymywane drzewo genealogiczne rodziny panującej w Japonji. To drzewo, którego prawdziwość najmniejszej nie ulega wątpliwości, wykazuje, że Zinmon Tenno, głowa dynastji Mikadów wstąpił na tron przed 2534 laty. Udowadnia ono również, że familja jego panowała od tego czasu bez najmniejszej przerwy W Japonji obchodzą nawet corocznie 11. lutego święto koronacji pierwszego tego monarchy.

— Podróżnik afrykański dr. Repin odwiedził niedawno „świątynię wężów“ w Waida i następujące o niej podaje szczegóły: Jest to gatunek rotundy, mającej w przecięciu 12 metrów, a wysokości około 8 metrów. Ściany są z ubitej gliny, a w nich znajduje się dwoje przeciwległych drzwi, przez które Bogowie tj. węże, wedle woli wpełzają i wypełzają. Powała składa się z gałęzi splecionych ze sobą, pomiędzy któremi znaczne szczeliny się znajdują; z zewnątrz pokrywa ją słomiana strzecha. Pod tą strzechą, pomiędzy gałęziami po belkach, na ścianach, kłębi się moc niepoliczona wężów, po największej części jednak niejadowitych. Długość ich wynosi od 1 do 3 metrów. Środek korpusu mają nieco grubszy od reszty ciała, ogon spiczasty, głowę szeroką, płaską i trójkątną, kąty jej jednak zaokrąglone; barwę rozmaitych odcieni, pomiędzy jasnożółtym a żółto zielonym, co od wieku zależeć się zdaje. Znaczna ich część ma na karku dwa czarne podłużne pasy. „Ilość wężów, które w tej świątyni widziałem, powiada Repin, przenosiła sto. Jedne z nich wypełzały ze szczelin w powale, inne spoczywały obwinięte o pnie drzew, wspierających ściany, inne wreszcie zaczepiwszy się ogonem o gałęzie kołysały się spokojnie tam i napowrót nad moją głową. Znaczna część zwiniętych w kłębek spoczywała w słomianej strzesze, trawiąc hojne ofiary wiernych. Cały ten obraz był w istocie zadziwiający i osobliwy, ale niebezpieczeństwo najmniejsze nie groziło“. Bardzo często poświęcone te gady wypełzają na ulice miasta — dla świeżego powietrza. Każdy murzyn, który je na takiej wędrówce napotka, rzuca się na kolana, chwyta ostrożnie święte zwierzę w ręce, prosi o przebaczenie za to, że się go zuchwale dotknął i odnosi je do świątyni. Ktoby w jakikolwiek bądź sposób pokrzywdził takiego fetysza — śmiercią bywa karany.

— Jakób Wainwright, afrykański sługa zmarłego dr. Liwingstone, spisał w formie dziennika opowiadanie o ostatnich chwilach znamienitego podróżnika i opis własnych przygód podczas podróży do Zanzibaru z ciałem swego pana. Ciekawa ta książka znajduje się obecnie pod prasą.

— Znanym jest przepis kryminalnego prawa, wedle którego człowiek powołany na świadka, poddać się musi ścisłemu badaniu co do przeszłości swojej. Nic nie można przepisowi temu zarzucić, wiadomo bowiem jak wielkiej wagi dla sprawy jest moralna kwalifikacja świadka; zdarza się jednak często, że w skutek tego przepisu, odświeżają się na nowo dawno zapomniane czyny i głęboko szczęście rodzinne zamącić a nawet zniszczyć mogą. Oto nowy dowód na to. Paweł Z. syn dosyć zamożnych rodziców z Wrocławia, wszedł przed laty jako uczeń do znanego handlowego domu we Wrocławiu. Ojciec jego, hołdający zasadzie, że człowiek tych tylko pieniędzy używać umie, które sam zarobi, niedawał mu ani grosika kieszonkowych pieniędzy. Stało się więc, co łatwo przewidzieć było można, że chłopiec udręczony z powodu ubóstwa swego żartami współtowarzyszy, uległ w nieszczęśliwej chwili pokusie i wziął talara z kasy. Kradzież tę jeszcze tego samego dnia odkryto, i następstwem jej było skazanie biednego młodziana na siedm dni więzienia. Paweł żałował winy swojej z całego serca. Po odsiedzeniu kary, udał się do Berlina, skończył tutaj praktykę swoją ku zupełnemu zadowoleniu nowego pryncypała i przyjętym został przez niego, jako buchalter o wysokiej płacy. Następnie został żołnierzem, dosłużył się w r. 1866 srebrnego medala zasługi, w 1870 żelaznego krzyża i kiedy w lecie 1871 powrócił znowu do swego pryncypała, ten z dumą przyzwolił na zaręczyny Pawła ze swoją córką. Jeszcze małżeństwo to nie przyszło do skutku, gdy w lecie 1872 r. zaszedł wypadek kradzieży w handlu przyszłego teścia Pawła Z. Paweł musiał jako świadek stawać w sprawie przeciw złoczyńcy i przy tej okazji, dawno zapomniane przestępstwo jego wyszło na jaw znowu. Na wieść o niem przyszły teść Pawła wpadł w wielkie oburzenie; zdawało mu się okropną rzeczą, że złodzieja, karanego sądownie człowieka tak długo trzymał w domu. Natychmiast ułożony związek zerwano; Paweł dysponent już naówczas haniebnie wypędzonym został, a co najokropniejsza, okrutny pryncypał zagrodził mu tem wszelką drogę do dalszego życia, że w najobszerniejszych kołach rozszerzył powód swojego zerwania z nim. Ponieważ jednak córka jego a narzeczona Pawła oświadczyła z siłą i stałością, że pomimo tego młodzieńczego błędu swego narzeczonego, nie zapomni o nim i czekać będzie, aż ojciec zdanie zmieni — kupiec usiłował zmusić Pawła, ażeby emigrował do Ameryki. Paweł jednak niczem do tego kroku nie dał się nagiąć — przeniósł się tylko do Szczecina, gdzie miejsce sobie wynalazł. Gdy jednakże i tam dziwna zaciętość i mściwość niedoszłego teścia go ścigały, wpadł w rozpacz i pewnego dnia znaleziono ciało jego w jeziorze. Narzeczona nie przeżyła go długo: otruła się bowiem w dwa miesiące potem; a nieszczęśliwy, tak przesadnie uczciwy ojciec zapadł od tej chwili w dziwną jakąś chorobę umysłową, która wprędce go strawiła, i umarł wśród obcych, obojętnych i chciwych spuścizny po nim ludzi.

— We wrześniu rb. rozpoczął się przed sądem przysięgłych w Rawennie proces, który oczom sędziów i publiki odsłonił straszliwy zakątek dna społecznego i przywołał na pamięć wszystkim, na szczęście minione już czasy, najszkaradniejszych gwałtów i bezprawi. Był to proces przeciwko bandzie tak nazwanych „Accoltellatori“ czyli „sztyletników“ która nie mniej jak przez sześć lat a mianowicie od 1865—1871 terroryzowała Romanję a szczególniej Rawennę. Najusilniejsze poszukiwania władz nie mogły wyśledzić tajemniczych mordeców, którzy pojawiając się niespodzianie z nieprzebitych jakichś mroków, dziś odbierali życie zacnemu obywatelowi, nazajutrz mordowali bogatego kapitalistę, to znowu ajenta publicznego bezpieczeństwa a nawet biedaków z ludu nie oszczędzali. Zdarzały się przytem, powiada akt oskarżenia ułożony przez prok. Bonelli, sceny przejmujące dreszczem i grozą, szczegóły przed któremi myśl się cofa, już to z powodu okrucieństwa bandytów przy dokonaniu zbrodni, już to na wspomnienienie oburzającej bezkarności w której ci złoczyńcy żyli. Z początku mieli się oni na ostrożności, mordowali tylko pod osłoną nocy i w zasadzce, ale powoli uzuchwalali się coraz bardziej bezkarnością i dokonywali zbrodni swoich na otwartym placu targowym, w tłumie ludzi, a nawet tuż pod bokiem policji. Bandyci ci wzywali nieraz pisemnie, za pośrednictwem poczty, ofiary swoje, ażeby w naznaczonym czasie opuściły miasto, Kto nie był temu posłuszny, padał pod nieubłaganym sztyletem. Ranni, pozostawieni jeszcze przy życiu, konający, którzy by mogli byli zrobić odkrycia jakieś, opisać morderców, świadkowie czynu, krewni i przyjaciele ofiar, wszyscy paniczną trwogą przejęci, oświadczali zawsze, że nic nie widzieli, nic nie słyszeli. Ta obawa świadczenia przeciw mordercom niezmiernie utrudniała działalność władz. Cofano nawet zeznania z obawy przed pomstą bandy. Pomiędzy stowarzyszeniami Raweńskiemi znajdowało się jedno zatytułowane jako „Towarzystwo wzajemnej pomocy“ na którego czele stojący prezydenci Pascucci i Biancani, należeli do najprzewrotniejszych ludzi i w pierwszym rzędzie na spisie tych bandytów figurują. Towarzystwo to wzajemnej pomocy, jakby dla sarkazmu tak nazwane, drukowało i rozlepiało po murach, na miejscach publicznych spisy imienne tych, których na śmierć przeznaczono, a na drzwiach pomieszkań swoich ofiar przybijało kartki z czarną obwódką i napisem: „Tu sa umeblowane pokoje do najęcia“. Prokurator państwowy Cav. Cappa padł ofiarą noża tej szajki, a dyrektor Filji Banku Narodowego ledwo uszedł podobnego losu. Nareszcie zeznanie jednego z członków tego towarzystwa, niejakiego Giovanni Resta, dało władzom pewne wskazówki do zgłębienia krwawych jego tajników. Czem pokrzepione i ośmielone mieszczaństwo coraz liczniejszych świadków i świadectw dostarczać poczęło i dało mu wreszcie możność do wytoczenia procesu tej szajce skrytobójców. Z zeznania Resty okazało się, że banda „Accoltellatorów“ miała dwa perjody: pierwszy od 1865—1867, w którym zajmowała się z niezmiernem natężeniem zbieraniem funduszów i ugruntowaniem swojej terrorystycznej władzy — drugi od 1867—1871, czas zupełnej organizacji i operacji regularnych. Właściwem gniazdem tych drapieżnych ptaków była „Osteria Grande“ w której zbierało się owo „Towarzystwo“ liczące wielką moc członków. Z tych jednak nie wszyscy byli zarazem i członkami skrytobójczej bandy: z początku należało do niej tylko 12, potem ilość ich się powiększyła. Zebrania odbywały się jużto w wspomnianej „Osterii“ już w pewnej kawiarni, albo w domu prywatnym. Celem ich było zawsze skazanie jakiejś nieszczęśliwej ofiary na śmierć. W głównej sali zebrań „Towarzystwa wzajemnej pomocy“ znajdowała się ukryta szafa z bronią którą nazywano „materjałem piśmiennym“. Banda posiadała także broń palną: 12 karabinów i strzelb. Wszystko w bardzo misternej kryjówce. Przez pewien czas „Accoltellatori“ silili się okryć aureolą politycznego spisku, tak jak swego czasu Neapolitańscy bryganci na papiesko-włoskiej granicy, ale sąd i opinja już się w błąd wprowadzić nie dadzą. Proces się toczy. Przyrzekamy czytelnikom naszym podać w swoim czasie wynik jego.

— Wkrótce rozstrzygnie w Paryżu trybunał cywilny proces bardzo ciekawy. Niejaki p. P. kupiec, zakochał się szalenie w pani B. która jest wdową bogatą, lecz obok tego izraelitką. Na wszystkie westchnienia zakochanego odpowiadała zimną obojętnością. W końcu ulegając natarczywym prośbom, oświadczyła, że pójdzie za niego, ale pod warunkiem, jeśli wyrzecze się religji katolickiej i przejdzie na żydowską. Po kilkomiesięcznym namyśle, p. P. przystaje na warunek, i porzuca religję swoich ojców aby przejść na wiarę Abrahama. Następstwa tej apostazji były dosyć przykre, ale czego nie uczyni wierny kochanek, wzdychający nie tyle do pięknych oczu wdówki, ile do jej zasobnego woreczka! Zostawszy żydem, narzeczony chciał przystąpić do aktu ślubnego, lecz jakież było jego zdziwienie, gdy z ust nadobnych usłyszał te słowa: „Rozmyśliłam się; nie wyjdę tylko za takiego, który się żydem urodził.“ Zrozpaczony p. P. wniósł skargę, żądając 50.000 franków wynagrodzenia za doznany zawód i przebyte cierpienia. Płeć piękna bardzo ciekawa jak się ta sprawa zakończy.

— Pojawienie się ostatniej komety uważane było w Chinach przez miejscową ludność, za zapowiedź bliskiej wojny. Wojna atoli nie będzie ani zbyt krwawa ani długo trwająca, ponieważ ogon komety był dosyć krótki. W Japonji natomiast uważano to samo zjawisko za dobrą wróżbę.

Odpowiedzi Redakcji.

Wł. S. w Krakowie. Przez zapomnienie wiadome dzieło nie zostało wysłane, ale dziś odejdzie. List spóźnił się do tego numeru ale będzie umieszczony w następnym.

Z. M. w Lauzannie. Zastosujemy się do życzenia — a tymczasem szczere dzięki za słowa zachęty i uznania,

Dr. A. W. we Florencji. Jeśli możebne prosimy nam przysłać, a do trzech dni po otrzymaniu damy ostateczną odpowiedź. Temi dniami napiszemy obszerniej listownie, a tych słów kilka prosimy uważać za załatwienie sprawy in merito.

K. w Dubiecku. Poczyniliśmy już kroki w tej sprawie. W pierwszych dniach przyszłego miesiąca będziemy prawdopodobnie mogli coś stanowczego o tem powiedzieć naszym czytelnikom. Wpierw atoli musimy mieć w reku, gdyż to jest zasadą naszą od której odstąpić nie możemy.

I. Horain W Ameryce. Odesłaliśmy.

Wszystkich pp. Autorów i nakładców, którzy życzą sobie, by o dziełach przez nich wydawanych, były umieszczane recenzje w naszem piśmie, upraszamy o przysyłanie nowości wprost do Redakcji.

— Manuskryptów redakcja nie zwraca, z wyjątkiem tych, których zwrot autor sobie zastrzeże.

Zwracamy uwagę czytelników, że tylko te reklamacje, które zostaną nam przysłane, najpóźniej w 3 dni po wyjściu każdego numeru, będą na przyszłość uwzględniane.

Treść Nr. 11.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.